

Nowe Przygody Baltazara Gąbki i jego Kompanii – Na tropie Czarnej Dziury (zapowiedź – z okazji Dnia Dziecka)



**Ponieważ wydanie drukiem Nowych Przygód Profesora Gąbki opóźnia się ,
aczkolwiek nie zostało udaremnione o co usilnie się starano i nastąpi mimo
owych starań, o czym jestem przekonany, bo na szczęście czasy już się na tyle
zmieniły, że monopol na Prawdy został złamany**

Z okazji Dnia Dziecka

**publikujemy pierwsze 6 rozdziałów książki – dla Naszych Dzieci. Poczytajcie
im – a zobaczycie że przy okazji zabawicie się nieźle i wy sami.**

**Akcja rozgrywa się w czerwcu 2012 roku w Krakowie,
Warszawie i Kijowie.**

**Informuję, że opóźnienie druku książki ma miejsce z powodu zawieruchy
Cenzury III RP w wydaniu redakcji i wydawnictw wysokonakładowych –
cenzury Właścicieli tych wydawnictw wykonywanej rękami jej redaktorów,
cenzury która ma motywy kościółkowo-postkomunistyczne (np nie drażnić
Rosji przyjaźnią Polsko-Ukraińską, nie drażnić Ukrainy zwycięstwem Polaków**

w Kijowie, nie drażnić postkomuny sformułowaniami typu “coś tam kombinują pod tym czerwonym płaszczkiem”. Ta Cenzura III RP dyktowana jest lękiem Wydawców przed aktualną władzą, która w tej książce podlega krytyce i dowcipom, dokładnie takiej samej jak i wszystkie inne absurdy naszej rzeczywistości, Cenzura III Rp stosuje także “śmieszno-straszne” kryteria poprawności obyczajowej.

W sumie te trzy elementy które urągają prawu artysty do wolnej wypowiedzi zmusiły mnie do odmowy podpisania przedstawionej mi Umowy Wydawniczej oraz odmowy wykonania stosownych absurdalnych “skrótów” czyli cięć cenzuralnych.

Ci ludzie lepiej wiedzą co wolno Wam i waszym dzieciom czytać! Chcieliby bardzo wydać tę książkę, ale po wprowadzeniu “zmian” cenzuralnych , merytorycznych, które sprawią, że nie będzie ona krytyką Rzeczywistości Polski Współczesnej nie będzie zawierała elementów magii i nie będzie propagowała Wiary Przyrody oraz |Proekologicznego Modelu wychowania dzieci i młodzieży. Mój teść właśnie przewraca się w grobie bo jego Gąbka zawierał takie elementy i został wydany w PRL – który podobno był krajem totalitarnym. Kraj Totalitarny to ten w którym żyjemy – tzw. III RP – to nie ulega dla mnie wątpliwości.

Na razie uruchamiamy więc znowu Krainę Księżycy do wydania Internetowego. Zaiste – czuję się jakbym wylądował – podobnie jak bohaterowie powieści Latającym Talerzem – tyle że na jakimś dziwnym Księżycu po Ciemnej Stronie Mocy.



Czesław Białczyński

*Nowe Przygody Baltazara Gąbki i jego
Kompanii*

Tom 1

Na tropie Czarnej Dziury

©copyright by Czesław Białczyński & Kraina Księżyca

® all rights reserved by Kira Białczyńska & Sawa Białczyńska



Rozdział 1: Niespodziewani goście

To wszystko wydarzyło się naprawdę dnia 15 czerwca 2012 roku. Zaczęło się od tego, że na Prądniku Czerwonym w Krakowie, tuż przed północą pojawił się Latający Talerz.

Takich osiedli jak to, i podobnych do niego miasteczek, są w Polsce tysiące. Musicie wiedzieć, że jest tam trochę różnych sklepów, poczta, dom kultury i bardzo stara kaplica. Pod starymi wierzbami płynie też rzeczka zwana Sudołem, a w Parku Zaczarowanej Dorożki jest mały staw i stary młyn z wielkim drewnianym kołem młyńskim. Tego dnia w stawie, jak zwykle kumkały żaby, kołysząc się łagodnie na liściach nenufarów. Po jednej stronie parku wyrosły wysokie bloki mieszkalne, po drugiej zaś przycupnęły małe, stare domki i wille z ogrodami. W innej części osiedla, po drugiej stronie przecinającej je wielkiej ulicy, znajdował się Stary Park z bardzo starą kaplicą i kilkoma jeszcze starszymi drzewami. Rosła tam przede wszystkim olbrzymia, bardzo, ale to bardzo, bardzo stara brzoza – król tego parku. Jej pień miał obwód ponad pięciu metrów. Żeby go objąć potrzeba było czterech tęgich chłopów. Wierzchołek drzewa sięgał tak wysoko, jak dziesięciopiętrowe bloki.

Niektórzy upierali się, że w Starym Parku straszy (zwłaszcza po północy, w pobliżu Bardzo Bardzo Starej Brzozy), chociaż przylega on do Bardzo Starej Kaplicy i do „końskich zagród”. W Końskich Zagrodach pasły się wierzchowce, znajdowały się tam stare stajnie i padok. Można tu było pojeździć na prawdziwych ogierach i kłaczkach, i na małych kucykach. Bardzo Bardzo Stara Brzoza od pięciuset lat każdego roku szumiała listkami swoją własną pieśń. Była to opowieść o nieujarzmionej przyrodzie i pięknie całej Ziemi. Pień Brzozy rozdzielał się gdzieś wysoko na pięć olbrzymich konarów, dźwigających więcej liści, niż rosło ich w

całej reszcie parku. W pniu znajdowały się cztery wielkie dziuple, a w konarach kilka mniejszych. Na stałe stacjonował tu dzięcioł. Podobno w tych dziuplach gromadziły się nocne duszki i widziadła, także te najzłośliwsze – liszki i paskudniki. Wiele z nich, jak powiadano, było na usługach Złej Licho – tej dziwacznej istoty, która podkrađa ludziom najpotrzebniejsze rzeczy, rzuca kamykami w szprychy kół, albo podkłada nogę, kiedy się tego nikt nie spodziewa. Możliwe, że rzeczy te Licho chowała właśnie w którejś dziupli wiekowej brzozy w Starym Parku. Ale byli też na Prądniku Czerwonym tacy, którzy nie wierzyli w te opowieści.

W dziesiątkach bloków i małych domków mieszkali tutaj zwyczajni ludzie, którzy wykonywali różne zawody, mieli różne poglądy na ważne sprawy i nawet różnili się kolorami włosów czy kształtem nosów, a czasem także kolorem skóry. Byli to przeciętni mieszkańcy Polski z początku XXI wieku – mężczyźni i kobiety, dziewczynki i chłopcy. Mieszkało tutaj też dużo kotów i psów różnej rasy oraz pełno innej, dziwnej menażerii.

No może nie wszyscy byli tu tacy zwyczajni – zwłaszcza Pan z Głową w Chmurach był osobą dosyć niezwykłą i mieszkał w niezwykłym zrujnowanym domku, otoczonym zapuszczonym Tajemniczym Ogrodem. Czerwony Prądnik słyszał zresztą z tego, że raz na jakiś czas zamieszkiwali tutaj bardzo niezwykli obywatele. W końcu stąd przecież pochodził sam Zaczarowany Dorożkarz, Jan Kaczara^[1]. Na tym osiedlu w bloku mieszkał też nie całkiem zwyczajny chłopiec o dwóch imionach Grzegorz i Sambor. Dla znajomych Grzegorek-Samborek. Grzegorek-Samborek podobnie, jak inne dzieci w jego wieku uczył się w podstawówce, która znajdowała się niedaleko jego domu. Bo na tym osiedlu była też oczywiście szkoła podstawowa i gimnazjum, i chyba trzy, tak, trzy duże przedszkola, no i rzecz jasna ośrodek zdrowia.

Był piątek wieczór. Do końca roku szkolnego pozostało niewiele ponad tydzień, a księżyc znajdował się na początku drugiej kwadry. To znaczy miał kształt litery C, czyli cieniutkiego sierpa, jak na tureckiej fladze. Tego wieczora mama skończyła czytać Grzegorkowi „Przygodę na Rodos”, ostatni tom z serii o Smoku Wawelskim i profesorze Gąbce. To właściwie jest książka, w której ani Gąbka, ani Smok Wawelski ani Kucharz Bartolini, ani tym bardziej Don Pedro czy Największy Deszczowiec – nie występują, ale dużo się tam o nich mówi.

- No, może nie tak nawet dużo, ale chociaż trochę – pomyślał wierzący się niemiłosiernie w łóżku już od ponad godziny Grzegorek – I to przeważnie dobrze.

Był wielbicielem tej trylogii, jednym z wielu. Takich wielbicieli jak on, było na świecie wcześniej dwa, albo nawet i trzy pokolenia.

W przygodzie na Rodos, Autor i jego przyjaciel zastanawiają się, co naprawdę stało się z Profesorem Gąbką i jego Kompanią, kiedy podczas wakacji w 1978 roku nagle, niespodziewanie zniknęli niedaleko od Krakowa, nad wielką rzeką San. Przepadli wtedy bez śladu i sprawa nigdy nie została wyjaśniona. Grzegorek też się nad tym zastanawiał cierpiąc na bezsenność w swoim pokoju, który nazywał Bazą Republiki Gwiezdnej. Z granatowego sufitu mrugały do niego nieustannie złote gwiazdy namalowane ręką mamy.

Za oknem sierp księżycyca wylaniał się, raz po raz, spomiędzy chmur, rozświetlał na chwilę noc i znów ginał.

Może Grzegorek dlatego nie mógł zasnąć, że ta zagadka nie dawała mu spokoju?

- Już za pół godziny Godzina Duchów – pomyślał zerkając na zegar, jedyny jasny punkt w ciemności, który pokazywał 23.30. – Lepiej zasnąć zanim się zacznie. – wyszeptał do siebie. Ale nic to nie dało. Wciąż różne domysły na temat tajemniczego zniknięcia jego ulubionych bohaterów krążyły mu po głowie, przemykając niczym szalone zwierzaki na zwariowanej karuzeli.

Grzegorz-Sambor nazwany był przez dobrych kumpli Grze-Gorkiem-Sam-Borkiem, przede wszystkim dlatego, że go lubiano. Tak brzmiały zdrobnienia jego obu imion. Ale też miało to głębsze znaczenie, bo *Samborek* się *sam* ze wszystkim *borykał* i sam sobie doskonale z kłopotami radził. Nie lubił, kiedy ktoś go wyřęcał w trudnych sprawach, wołał je sam rozwiązywać. Najbardziej oczywiście lubił zagadki i rebusy w czasopismach i Internecie. Był też miłośnikiem drzew i w ogóle lasu, a najbardziej lasu iglastego, który leśnicy nazywają borem. Czy jego drugie imię miało wpływ na miłość do drzew i boru, trudno powiedzieć. Te dwie sprawy: imię i zamięłowania życiowe – rzeczywiście czasami idą w parze. Poza tym był *Grzegorek* trochę zmarzluchem, więc lubił, jak gdzieś blisko *grzeje* kaloryfer, piec albo najlepiej jakiś *grill* z pieczoną kiełbaską nabitą na prawdziwy sosnowy patyk pachnący żywicą. Ostatecznie mogła to być też zwykła kuchnia elektryczna z prętem do grillowania, jeśli nie było pod ręką prawdziwego grilla albo ogniska.

Z tego mogłoby wynikać, że Grzegorek był obżartuchem i bardziej niż grzać się lubił wcinać szaszłyki, a do tego małe, szpiczaste pomidorki i żółciutkie liście z zielonej sałaty. Uwierzcie mi na słowo, że mama uważała go za niejadka. A jak już ona, osoba mocno zakręcona na punkcie zdrowej żywności i diety oraz witamin tak mówi, to na pewno tak jest. Ale podejrzewam, że Grzegorek rzeczywiście przepadał za szaszłykami, to znaczy bardzo, bardzo je lubił.

- Jeszcze jak! – wyszeptał z rozkoszą do poduchy i oblizał się, a w brzuchu zaburczało mu niczym Smokowi Wawelskiemu.

Grzegorek-Samborek – nie miał dzisiaj dobrego dnia:

- po pierwsze nie było żadnego grilla, ani ogniska, ani szaszłyka,

- po drugie grilla nie było chociaż był obiecany, dlatego, że od rana padał deszcz i panował chłód,

- po trzecie Grzegorek-Samborek narozrabiał w szkole i pani zrobiła mu wpis do dzienniczka,

- po czwarte mama nie dała mu lodów (drugiego ulubionego przysmaku Grzegorka), bo zimno i był niegrzeczny,

- po piąte – co prawda za tydzień zaczynają się wakacje, ale jest to dopiero za cały, długi tydzień, a nie już, natychmiast!

- po szóste Mógłby tak długo ciągnąć, ale po co...

Teraz też wcale nie miał ochoty spać, chociaż robiło się coraz później. Zamiast spać wolałby obejrzeć po raz dziesiąty „Gwiezdne Wojny – część 1” – gdzie tak naprawdę zaczęła się historia Galaktycznej Republiki, walki z Sithami i z Klonami. Wolałby jeszcze raz zobaczyć jak Lord Vader stał się Lordem Vaderem. Albo przynajmniej chciałby jeszcze zbudować dodatkową bazę kosmiczną na stronie internetowej gry w Astrowładcę. Leżał tak, leżał i marzył o tym, żeby go spotkała wielka życiowa przygoda, zamiast codziennej, zwykłej nudy.

No – był co prawda rok 2012 i nie było tak całkiem nudno, bo właśnie tydzień temu zaczęły się Mistrzostwa Europy w piłce nożnej, w Polsce i na Ukrainie. Ale, co tam mistrzostwa, to dopiero faza grupowa, nic ciekawego. Samborek musiał przyznać jednak sam przed sobą, że to, iż Polska wygrała trzy dni temu już drugi swój mecz w grupie było bardzo ciekawe, a nawet fascynujące. Przed turniejem nikt nie dawał Polakom żadnych szans na awans. Trzeba było jednak wygrać jeszcze trzeci mecz, żeby nie trafić za szybko na Portugalię, albo na Hiszpanię. W listopadzie miał też wyruszyć w kosmos polski satelita, LEM[2] ... ale do listopada było daleko jak na Księżyc!

Przydałoby się znaleźć jakiś prawdziwy skarb, pokonać wrednego potwora, uratować księżniczkę albo przynajmniej ocalić Ziemię od zagłady!!!

Ledwo to pomyślał, kiedy Księżyc po raz setny tej nocy wyskoczył zza chmur. Tuż obok, tam gdzie zwykle, zamigotała jasna gwiazda. Chmury rozeszły się, wiatr zawył w rozszczelnionych framugach. Nagle w górnym rogu okna coś śmignęło zieloną krechę i stanęło jak wryte niedaleko Księżycy. Dokładnie po drugiej stronie gwiazdy. To musiało być UFO. Jakby na potwierdzenie myśli Grzegorka pomarańczowy punkt zamrugał trzy razy.

- Mamó?! Mamó!!! – zawołał Grzegorek-Samborek.

Pomarańczowy punkt błyskawicznie śmignął przez nieboskłon, po czym zawrócił w mgnieniu oka i zatrzymał się zaraz obok Księżycy, na poprzedniej swojej pozycji. Znowu zamrugał trzy razy. Wtedy właśnie weszła mama.

Mama przez dobrą chwilę próbowała zobaczyć UFO, jednak, choć długo patrzyła, nic nie widziała. Latający talerz albo zgasił swój blask, albo gdzieś się nagle przemieścił, bo nie było go tam, gdzie poprzednio.

-Złośliwość rzeczy martwych – powiedział Grzegorek-Samborek.

Mama nakrzyczała na niego, że zawraca głowę zamiast spać. Była zła jak osa, bo już siedem razy zdążyła tutaj być od chwili, kiedy wszedł do łóżka.

- Siedem to szczęśliwa liczba – burknął pod nosem.

- A osiem to nieskończoność – odparowała mama – Jak się ósemkę położy[3]. Ty też się natychmiast kładź, zamiast sterczeć przy oknie, bo jak nie, to będzie nieskończony zakaz na lody z truskawkami.... Kiedy ty wreszcie zmadrzejesz?! – pokręciła z troską głową i wyszła z pokoju.

Grzegorek-Samborek niechętnie wrócił do łóżka. Była już za minutę północ. Ledwie mrugnął oczyma – to znaczy na chwilę je zamknął i po chwili znowu otworzył – gdy gwiazda po prawej stronie Księżycy zaczęła się rozdawać. UFO najwyraźniej schowało się za nią przed

mamą. Teraz nabrało rozpędu i błyskawicznie zaczęło się powiększać! Leciało wprost na okna Gwiazdnej Bazy Grzegorka-Samborka – na jego pokój! Nim zdążył się przestraszyć, na środku dywanu pojawił się wprawdzie pomarańczowy wirujący krąg, a potem z wiru wyłonił się zarys zwalniającego obroty latającego talerza. Talerz świecił na brzegach, jakby go obsiadł rój robaczków świętojańskich. Dopiero teraz Grzegorek przeląkł się na dobre. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, żeby wezwać mamę na pomoc, więc schował się pod kołdrę. Przecież okno było zamknięte z powodu wiatru, zimna i deszczu, jakim więc cudem znalazł się tutaj ten talerz, nie wybijając szyby ani nie rozwalając ściany?! Tymczasem zielono-pomarańczowe UFO, zamiast się uspokoić, kręciło się jak bąk tuż nad powierzchnią dywanu i wydawało dziwne bzyknięcia i trzaski.

Po chwili Grzegorek-Samborek zdobył się jednak na odwagę, opanował nerwy i wyszedł spod kołdry. To znaczy, powiedzmy, wystawił czubek nosa i jedno oko, które z powodu zdumienia było większe niż niejeden spodek. Talerz zatrzymał się powoli, a po dłuższej chwili w jego wypolerowanym, stalowym boku rozwarł się otwór drzwiowy, a w czerni otworu ukazali się...

Grzegorek-Samborek od razu ich rozpoznał. Byli to jego ulubieni bohaterowie, o których mógł słuchać codziennie i żądał od mamy, żeby mu wciąż od nowa czytała te same śmieszne kawałki z ich mrożących krew w żyłach przygód. Nie mógł wprost uwierzyć w to co widzi, więc sto i jeden razy przetarł oczy rękawem pidżamy w sto i dwa wyścigowe bolidy. Komuś, kto nie wie, co to bolid wyścigowy wyjaśniam, że chodzi o wyścigowy samochód Formuły Pierwszej – czyli najważniejszej formuły na świecie – przynajmniej dla chłopców w wieku od sześciu lat do stu. Na pidżamie było tych bolidów sto dwa, bo nasz najlepszy kierowca wyścigowy to chłopak na sto dwa, a urodził się i mieszkał o jedną dzielnicę w lewo od Grzegorka-Samborka, czyli bardzo blisko.

- Czy to naprawdę wy?! – zapiszczał Grzegorek przez ściśnięte gardło.

- Śmiesz pisz! – wyklekotał nieco mechanicznie robot przypominający pomalowanego na zielono Ertuditu (R2D2)[\[4\]](#) i wskazał na Grzegorka. Jak okazało się już wkrótce, był to Ufolódek Mądrodudek.

Nie trzymajmy dłużej naszych miłych czytelników w napięciu. Oto, kto w Godzinę Duchów stanął przed Grzegorkiem-Samborkiem na czerwonym dywanie jego pokoju.

Na początek Profesor Baltazar Gąbka, we własnej osobie, tylko trochę jakby odmłodzony.

- Witam cię Grzegorzu Samborze – rzekł profesor Gąbka poważnie i nisko się uklonił – Witam uroczyście w imieniu całej naszej Kompanii. Przepraszamy, że zjawiliśmy się tak nagle i nieco cię przestraszyli, ale mamy ważne powody. Musimy uratować Ziemię od zagłady!

Zaraz za profesorem z czeluści wyłoniła się cała wspaniała Kompania. Stanęli więc przed Grzegorkiem witając się i przedstawiając na wypródki: Smok Wawelski z nieodłączną fajką, Księżę Krak XXIV w koronie, Doktor Magii Tadeusz Koyot, mistrz kucharski Bartolini Bartłomiej herbu Zielona Pietruszka i Don Pedro w swojej nieprzemakalnej pelerynie.

- Pozwól, że przedstawimy ci zupełnie nowego członka naszej Kompanii – zaczął Smok nabijając starannie fajkę.

- Smosiu, proszę cię, tylko nie w zamkniętym pomieszczeniu! A najlepiej, jeszcze raz ci powtarzam – włączył się Doktor Koyot – Rzuć ten zgubny nalóg!

- A ja ci powtarzam Koyotku, że to, co zgubne dla człowieka, nie jest takie zgubne dla zionącego ogniem smoka – zripostował Smok Wawelski.

- Sam ja, jasam, samja, ja sam, jaja. – zaskrzeczał gostek w zielonym pokrowcu, przypominający Ertuditu – Ono śmiesz pisz. – wskazał na Samborka teleskopowym górnym odnożem.

- Jaja? Kto wspominał o jajach?! – ocknął się nagle Bartolini zakreślając w powietrzu znak Zorro swoją roznoszpadą – Mamma mia, powinniśmy już dawno zjeść jakąś kolację. Pozwólcie, że się tym natychmiast zajmę.

- Wybacz Grzegorz – rzekł Książę Krak poprawiając sobie przekrzywioną koronę – Ale mistrz Bartolini źle znosi podróże latającym talerzem, który, jak zapewne się domyślasz, jest też machiną czasu.

- Tak naprawdę podróże tym talerzem dobrze znosi tylko Ufolódek – wysapał Don Pedro, który po locie był jeszcze bardziej zielony na twarzy niż zwykle i wciąż było mu niedobrze.

- Bartłomiej uważa, że właściwym miejscem dla talerza jest dobrze zastawiony jadłem stół, a nie żeby talerze latały w powietrzu. – oświadczył Smok Wawelski i schował nierozpaloną fajkę za pazuchę.

Mistrz Bartolini tymczasem zagłębił się w pojeździe, po czym wyłonił się z niego z patelnią, kostką masła, palnikiem gazowym i zgrzewką jajek z zieloną pieczęcią ekologicznej hodowli kur.

- Czy dobrze zrozumiałem, proszę księcia Kraka – zapytał Grzegorek-Samborek, już całkiem normalnym swoim głosem – powiedział książe, Ufolódek przez ó zamknięte?!

- Samja, jaja! – wykrzyczał nerwowo Ufolódek.

- Już dobrze, dobrze – uspokoił go Doktor Koyot. – No to fru, gadaj!

Jak się okazało z wyjątkowo szybkiej przemowy Ufolódka, był on właścicielem Latającego Talerza. Zwał się w skrócie U-L-M-D, co można przetłumaczyć od biedy z języka ufolódczańskiego na polski właśnie jako UFO-Lódek Mądro-Dudek. Najważniejsza wiadomość jaką natychmiast przekazał Grzegorkowi gość z Latającego Talerza brzmiała, że Ufolódki pochodzą z Planety Zimnej, czyli z Krainy Wiecznej Zimy w Układzie Syriusza, a ich ciała zbudowane są z czystych kryształków lodu. Widoczny zielony pokrowiec to skafander-powłoka lodówki, w której jego właściciel musi przebywać, żeby się na Ziemi nie roztopić. Izoluje go on też od pól elektrycznych. Ufolódek jest istotą żywą, ale zrobotyzowaną, złożoną z części biologicznych i elektronicznych. Po powrocie trzech badaczy Ziemi – Javoksa, Siluksa i Castrola, którzy złożyli wizytę w roku 778, w Grodzie Kraka, na Zimnej Planecie (która wtedy była jeszcze całkiem ciepła i płynęła mlekiem i miodem) zdarzył się przykry wypadek. Podczas eksperymentów z umklajderami[5] cała planeta została zamrożona, a UFO-ludzie stali się Ufolódkami – Lodo-ludo-robotami. Teraz

zbudowani są częściowo z żywych komórek, a częściowo z tego samego co lodokomputery, czyli z lodu.

- Z um-klaj-co?! Lodo-ludo-jak?! Aha rozumiem, są na półżywi na pół sztuczni. Okej. – powiedział zdumiony Grzegorek-Samborek – Jak Niszczyciele w „Dalekich szlakach”, albo jak Klony z „Gwiazdnych Wojen”. I przez to trzeba teraz ratować Ziemię od zagłady?!

- Nie do końca, nie do końca, ale coś w tym jest – wysapał Don Pedro, który na widok ognia rozpalonego pod patelnią i topiącego się maselka wyraźnie odzyskał siły. – Mniem, mniem, uwielbiasz to Smoku prawda?!

- Jeszcze jak ! – odpowiedział Smok.

Z tego co powiedział Mądrodudek wynikało, że przez lodowe kryształki jego ciała bardzo szybko i łatwo przemieszczają się prądy, dzięki czemu on i wszystkie inne UFOlódki bardzo szybko i sprawnie myślą, co powoduje z kolei, że mają na swojej planecie bardzo wysoko rozwiniętą cywilizację. Ta cywilizacja pozwalała im nie tylko podróżować po całym Wszechświecie, ale także przemieszczać się w Czasie do przodu i do tyłu. Niestety nie zostało jeszcze wynalezione przemieszczanie się w Czasie na Boki, więc nadal nie da się przejść do jakiejś lepszej i wygodniejszej Rzeczywistości Równoległej.

Nie ma więc wciąż niestety – jak szybko zrozumiał Samborek – możliwości dotarcia do Hogwartu, Zakazanego Lasu i Harrego Pottera. Ludzkość była zatem w dalszym ciągu skazana na trwanie w świecie Mugoli. Przykre.

To wszystko ULMD, czyli Ufo-Lódek-Mądro-Dudek powiedział w kilka sekund, bo język ufolódczański jest tak samo szybki jak same Ufolódki. Ale elektroniczny tłumacz musiał to przełożyć na zrozumiałą ziemską mowę i powiedzieć po polsku. Ten elektroniczny tłumacz miał nieco skrzeczący i cienki, męski głos, a mieścił się na przegubie ręki Mądrodudka.

- Bardzo się cieszę, że was widzę, ale właściwie dlaczego wylądowaliście właśnie u mnie? – zapytał Samborek

-Wybrł ó Szczeg Wielk Komp Lodówy, czyl Zim Plan – powiedział Mądrodudek, co tłumacz przetłumaczył następująco:

- Wybrał cię Szczególnie Wielki Komputer Lodówy, czyli Zimnej Planety.

Tę miłą pogawędkę przerwał Bartolini prosząc o pomoc Doktora Koyota i Don Pedra. Po chwili z wnętrza latającego talerza wyniesiono wielki biały obrus, stopy pokrojonego chleba, osiem różnoszpud z nabitymi na nie szaszłykami, stopy pomidorów, liście sałaty, musztardę oraz sok ze świeżych pomarańczy w wielkim szklanym dzbanku. Zaraz też pojawiły się widelce, całkiem zwyczajne talerze i szklaneczki. Bartolini wbił jajka na patelnię i rozpoczął błyskawiczne opiekanie szaszłyków na ogniu. W powietrzu rozszedł się smakowity zapach. Wszyscy rozsiedli się wokół obrusa a Smok rozłożył nakrycia. Księżę Krak zaprosił gestem Samborka i ten natychmiast wyskoczył ze swego łóżka.

- Nie wiem czy mogę – powiedział Samborek – Mama zawsze mówiła, żeby nigdy niczego nie brać od obcych.

- Ależ czyż my jesteśmy obcy? – zapytał przymilnie Don Pedro – Co prawda dopiero przylecieliśmy, ale znasz nas bardzo dobrze.

- Co prawda, to prawda – rzekł Smok Wawelski smarując pająkę maselkiem.

Samborek pokiwał głową przyznając mu rację i zasiadł w kręgu. Tymczasem Mądrodudek wyrzucił z wnętrza skafandra-lodówki przewód i znalazłszy gniazdko z prądem podłączył się do niego. Oczy zaświeciły mu na chwilę potężnym blaskiem po czym zaczął mrużyć jak kot, albo jak trochę popsuta lodówka i pograżył się w samozadowoleniu, a teleskopowe krótkie rączki automatycznie zaczęły głaskać lodobrzucho. Samborek również sięgnął po kromkę.

Wtem za ścianą rozległ się spory hałas. Wszyscy zamarli i zapadła grobowa cisza. Nasłuchiwali z niepokojem. – Co będzie - pomyślał Samborek – jeśli za chwilę wejdzie tutaj mama?! Ale hałas się nie powtórzył.

- To tylko książka, którą mama lubi czytać do poduszki, musiała spaść na podłogę. Starajmy się być cicho – powiedział Samborek – Żeby nie obudzić mamy. Okej?

- Spokojna głowa – rzekł szeptem Doktor Koyot i zawiadacko puścił do niego oko, jakby znał jakąś specjalną tajemnicę, o której nikt inny nie wie.

- Żeby cię nie trzymać dłużej w napięciu – odezwał się z pewnym namaszczeniem książkę Krak – Postaramy się wyjaśnić co nieco, zanim Bartolini poda na deser lody śmietankowe. Nie możemy teraz powiedzieć wszystkiego. To by było wbrew wszelkim zasadom, ale... może ty, Baltazarku, pociągniesz dalej?...

- Otóż Grzegorzu Samborze ...

- Mów mi Grzegorku-Samborku, albo po prostu Samborku, drogi profesorze Baltazarze.

- Więc ty mów mi Baltazarku, albo profesorku – powiedział Gąbka – Uwielbiam zdrobnienia, a poza tym wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

- Mówmy sobie wszyscy na ty! – powiedział uroczyście Doktor Koyot nalewając soku pomarańczowego do szklanek – Wznieśmy bruderszaftowy toast^[6] i do rzeczy Baltazarku, bo nam się lody roztopią, zanim wyjaśnimy o co chodzi. No to fru!

Wznieśli napełnione w połowie pomarańczowym płynem szklanki i wychylili po dużym łyku.

-Och, to było dobre – Smok pomasaował się po brzuchu podobnie jak Mądrodudek, który zupełnie już pograżył się w elektrycznej rozkoszy.

- Jak wiesz Samborku, od dawna zapowiadało się, że Ziemia będzie mieć kłopoty. Już starożytni Majowie i ich czarownicy to przepowiadali. Wyznaczyli nawet datę Końca Świata – To jest zapisane w Kamiennym Kalendarzu Majów. Tam wryli ostateczną datę: 21 dnia, 12 miesiąca, 2012 roku. Jak wiesz ta data przypada właśnie teraz bo mamy rok 2012.

- Tak. To jest za sześć miesięcy i sześć dni – powiedział Samborek, który umiał już bardzo szybko i dobrze liczyć. Był też niezły w czytaniu i pisaniu.

- Ani w starożytności, ani nawet jeszcze w XX wieku nie było wiadomo, na czym ten koniec świata może polegać. Teraz już wiemy, że każde fatalne w skutkach wydarzenie na naszej Ziemi, to najprawdopodobniej sprawka Czarnej Dziury, która znajduje się w środku naszej Drogi Mlecznej. Tak więc ona odpowiada za całe zło!

- O rany! – wykrzyknął Samborek, bo o czarnych dziurach wiedział bardzo dużo z internetowej gry w Astrowładcę – Czarne Dziury to wyjątkowo wredne twory, które wciągają do swojego brzucha wszystko co się znajdzie w ich zasięgu. Potrafią pożerać nie tylko przedmioty, ale nawet światło! To straszne! Jak coś złapią, to nie ma siły, żeby to wypuścić. Czy Ziemia znalazła się w zasięgu działania Czarnej Dziury?!

- I tak i nie. – włączył się Don Pedro – Na troje babka wróżyła. Wszystko w naszej galaktyce jest w jej zasięgu, ale ona działa na różne sposoby: Takie, Siakie i Owakie. Ten sposób, o jakim ty przed chwilą mówiłeś, to jest sposób „taki”, ale zostaje jeszcze sposób „siaki” i „owaki”.

- Jajeczniczka gotowa – Bartolini zaczął nakładać pachnącą papkę na talerze – Ale martwi mnie, że te szaszłyki jeszcze się nie zrumieniły.

- Jeżeli pozwolisz, Bartłomeju herbu Zielona Pietruszka, to przyspieszę proces przypiekania – powiedział Doktor Koyot wyciągając zza pazuchy czarodziejską różdżkę – W końcu zna się tych parę zaklęć, parę przepisów na zdrowe odżywianie i kilka sztuczek z umklajderem.

- Ach, więc um-klaj-coś tam, to po prostu czarodziejska różdżka – odkrył z satysfakcją Samborek – Trzeba było od razu tak mówić.

- Nie wiem czy powinno się stosować czary do zwykłego przypiekania szaszłyków?! – zasępił się książę Krak – Czy to nie nadużycie, w zbyt błahej sprawie?!

- Nie, nie i jeszcze raz nie. Zostawmy pieczęń siłom natury – powiedział Smok Wawelski – Po tym wypadku z czarodziejską różdżką na Ufolandii, przez co się stała Zimną Planetą, a Ufoldzie stali się Ufolódkami, powinniśmy dmuchać na zimne.

- Ale to jest akurat gorące, tylko że za mało!!! – Doktor Koyot nie potrafił ukryć rozczarowania z powodu nieufności do jego czarodziejskiego rzemiosła, ale posłusznie schował pałeczkę za pazuchę, podobnie jak poprzednio uczynił to na jego prośbę Smok ze swoją fajką.

- Siakie działanie Czarnej Dziury polega na tym, że ona jednak coś tam z siebie w świat wypuszcza, ale to są wyłącznie ciemne siły, czyli Ciemne Moce i Ciemne Energie.

- A owaki sposób to jaki? – dopytywał się Samborek.

- Owaki?! – Don Pedro posmutniał – Tego nikt nie wie. To musimy właśnie wytropić. Temu między innymi służy nasza wyprawa na Ziemię XXI wieku, czyli Tu i Teraz.

- Wracając do sprawy zagrożenia Ziemi – powiedział Baltazar Gąbka – Grozi nam katastrofa E-ko-Logiczna! A to znaczy, że Przyroda całej naszej ukochanej planety jest zagrożona i w każdej chwili Ziemia może zacząć umierać. Jej umieranie może zapoczątkować wycięcie jednego drzewa za dużo w tropikalnych lasach, albo zatrucie kolejnego morza, albo zepsucie

powietrza w jednym jedynym miejscu, gdzie nie powinno ono zostać zepsute. To umieranie Przyrody Ziemi może się zacząć od uśmiercenia jednej zwykłej żaby, a potem już nie da się tego zatrzymać. Życie będzie zamierać lawinowo, jedna śmierć będzie powodować sto innych, a tych sto, tysiąc następnych. To dokładnie tak samo, jak w lawinie śniegowej; zaczyna się od jednego płątka na szczycie góry, potem powstaje śnieżna kula, a kończy się na zasypaniu całego miasteczka w dolinie. Tak stwierdził Szczególnie Wielki Komputer Zimnej Planety. Aż życie całkiem zaniknie na Ziemi: znikną wszystkie lasy, zwierzęta i ludzie też. Nic nie przeżyje! Nawet najmniejszy drożdż, ani bakteria.

- Ale póki jeszcze żyjemy – włączył się optymistycznie Bartolini wpychając w pełne usta całego pomidora. – Niue zapuominajciiie o puomidołłach i sałaciiiie, są puyszszszone.

Zapadło milczenie. A w tym milczeniu wszyscy przeżywali nie tylko smakowite liście sałaty, warzywa i wspaniałą jajecnicę, ale też straszne słowa o niebezpieczeństwie, jakie zawisło nad naszą ukochaną Ziemią.

- No i proszę, szaszłyki gotowe – Bartolini, nie przejmując się przejmującą ciszą, podskoczył do palnika i wyłączył go. Po kolei obdarowywał wszystkich różnoszpadami, ale na końcu zostały mu dwie. – Czyżbyśmy źle coś obliczyli?! - zdziwił się.

W tym momencie kocie mruczenie w kącie pokoju nagle ustało. Teleskopowe rączki zawirowały, Mądrodudek wyrwał swoją wtyczkę z kontaktu i ruszył ku Bartoliniemu.



- Daw, daw! – wyskrzecztał – Ty zapom, że jaja półzyw! – I nim Bartolini zdążył się zorientować porwał swój szaszłyk i zasiadł pomiędzy nimi. – Oj tak, to dobr!!! Jaja!!!

Z korpusu wyskoczyła mu dodatkowa rączka i znów zaczął się masować dwiema rękami po lodobrzuniu, trzecią zaś pakował do otworu gębowego skafandra potężne kęsy boczku. Przez chwilę wszyscy żuli ze smakiem i nic się nie działo. Kiedy w końcu szaszłyki i jajecznica prawie zniknęły Mądrodudek zawarczał, zabuczał, zaświecił oczami, po czym na piersi jego skafandra otworzyły się małe drzwiczki z tacką. Na tackę wyjechała piękna porcja lodów, a za nią kolejna i następne. Mądrodudek bardzo szybko rozdał lody pomiędzy siedzących, bo czynił to trzema rękami. Bartolini dorzucił na każdą porcję imponującą czerwoniutką truskawkę. Znowu zapadła cisza, przerywana z rzadka mlaskaniem Mądrodudka i innych biesiadników.

Po zjedzeniu lodów i krótkim odpoczynku odezwał się Samborek.

- Bardzo się cieszę z waszej wizyty, ale nie rozumiem dlaczego właśnie mnie wybrał Szczególnie Wielki Komputer Lodowy i w jaki sposób mógłbym wam pomóc?!

- Szczególnie Wielki Komputer powiedział tak: Szukajcie na Ziemi chłopca, wiek 6-8 lat. Dobrze zna współczesną Ziemię i okolicę, bez trudu posługuje się tą nowoczesną techniką, której wszędzie teraz pełno, zna różne programy komputerowe i Internet. Lubi drzewa, sam posadził jedno i opiekuje się innym, bardzo starym drzewem. Zbiera makulaturę i zużyte baterie. Zawsze starannie zakręca kran, żeby woda nie kapała. Uwielbia przygody, w tym Przygody Profesora Gąbki, Szreka, Harrego Pottera, Gwiezdne Wojny i grę w Astrowładcę. Mieszka od urodzenia na tym samym osiedlu, niedaleko Wawelu, blisko tego chłopaka z Formuły Jeden, tego kierowcy na sto dwa. Zaproście go do misji ratowania Ziemi. Posiada on takie cechy charakteru, które pozwolą mu dokonać naprawdę wielkich czynów. On będzie Najważniejszym Członkiem Wyprawy.

- Czy to wszystko się zgadza? Czy ty, to Ty?! – zadał retoryczne pytanie Smok.

- Tak. Chyba tak. Rzeczywiście zasadziłem drzewo w Parku Zaczarowanej Dorożki i dałem mu swoje imię – Grzegorz. Towarzystwo Ochrony Najstarszych Drzew w Polsce oddało mi też pod opiekę grochodrzew w Starym Parku, który ma czterysta czterdzieści cztery lata i jest starszy od Bardzo Starej Kaplicy. Ten grochodrzew jest najbliższym przyjacielem Bardzo Bardzo Starej Brzozy i nosi moje drugie imię – Sambor. Zbieram też makulaturę i zakręcam wodę w kranie, lubię przygody, filmy fantastyczne, gry komputerowe i Internet, ale... z tym charakterem i wielkimi czynami, nie wiem... – Samborek zawiesił na chwilę głos, po czym z trudem wydusił z siebie – ... Aaa, jak długo miałyby potrwać ta misja i dokąd mielibyśmy się udać?!...

- SWKL, Eswukael – Szczególnie Wielki Komputer Lodowy, twierdzi, że finał naszej misji to noc z trzeciego na czwartego lipca 2012 roku. – wyjaśnił mu profesor Gąbka – Nie potrafił jednak powiedzieć nam ani gdzie ten finał będzie miał miejsce, ani na czym będzie polegał. Niezbyt to jasne jak na Eswukael, ale widać miał zbyt mało danych, żeby sprawę bardziej rozjaśnić. Powiedział tylko, że musimy znaleźć w Krainie Bociana i Tysiąca Nenufarowych Jezior Najczystsze Miejsce na Ziemi, a w nim Jedyny Obiekt, który jest Jedynym Kluczem do Zmiany sytuacji.

- Chyba się nie wahasz?! – oburzył się Bartolini i zamachał groźnie roznospadą – Nie odmawia się Szczególnie Wielkiemu Komputerowi Lodowy, a tym bardziej księciu Krakowi i Największemu z Deszczowców!

- Zaraz, zaraz. Tylko bez nacisków. - włączył się nagle Doktor Koyot – Niepotrzebni nam fałszywi sprzymierzeńcy. Mam wrażenie, że nasz młody przyjaciel trochę inaczej zamierzał skończyć swoje poprzednie zdanie, ale coś go powstrzymało?!

Samborek zrobił się purpurowy na twarzy. Czy ten czarodziej Koyot umiał czytać w myślach?! Skąd Kompania Profesora Gąbki tyle na jego temat wiedziała?! Jak to się stało, że jak tylko pomyślał, że chciałby uratować świat, oni się natychmiast tutaj znaleźli w tym latającym talerzu?! W Samborku obudziła się czujność, którą od dawna wszczepiali mu dorośli – mama, dziadek, nauczyciele w szkole. W pewnych sytuacjach – powiadali – trzeba umieć odmawiać. Bo może się okazać, że człowiek pakuje się w niezłe tarapaty, a początki każdego złego są zawsze bardzo miłe.

Wstydził się, że tak pomyślał o tej jakże zacnej Kompanii siedzącej właśnie na jego dywanie, ale wewnętrzny głos kazał mu być odważnym i szczerym. Przełamał się więc i powiedział:

- Niestety nie mogę z wami nigdzie polecieć, ani wykonać żadnej misji! Okej?

To co powiedział, sprawiło mu przykrość, poczuł jednak natychmiast wielką ulgę, bo powiedział dokładnie, to co myślał.

Jeśli poprzednia cisza – po tym jak Gąbka obwieścił niebezpieczeństwo zagłady Ziemi – nasączona była po brzegi wrażeniem śmiertelnej groźby, to cisza, która nastąpiła po słowach Samborka, miała charakter „jak makiem zasiał”, czyli grobowy. Po krótkiej chwili była już tak ciężka, jak sam Giewont. Aż dziw, że cały pokój nie zapadł się do piwnicy. Jakże różne mogą być rodzaje ciszy – pomyślał Samborek – Na przykład błoga cisza, albo cisza przed burzą.

- No, chodzi o to – wydukał, żeby przełamać fatalne wrażenie swoich poprzednich słów – że na przykład w ogóle nie zmieszczę się do tego latającego talerza. Jestem jakieś sto razy za duży?! Okej?

Ponieważ nikt się nie odezwał, Samborek ciągnął dalej:

- Nie zamierzam też opuścić przyjaciela. To czarno-biały piesek przybłąda rasy mniej więcej papillon, z sześcioma palcami u przedniej łapy. Nikt go nie lubi, bo wciąż szczeka, jak lew broni domu Pana z Głową w Chmurach po przeciwnej stronie parku, i nikogo nie wpuszcza do jego Tajemniczego Ogrodu. Nazywają tego papillona Czarny Bolo. Pan z Głową w Chmurach też chyba wcale nie lubi swojego psa, bo często zapomina go wyprowadzić, przyprowadzić, nakarmić i dać mu wody. Bolo biega samopas po całym Czerwonym Prądniku.

Siedem par oczu wbiło się w twarz Samborka z mocą czternastu promieni lasera, usiłujących przeświecić go na wylot. Nadal nikt się nie odzywał, a cisza tężała coraz większym chłodem, stała się wręcz mroźna i twarda. Niczym węglowa płyta, w której zamrożono ciało Hana Solo^[7].

- No dobra – rzekł Samborek z rezygnacją – Powiem wam całkiem szczerze, że nie mam w zwyczaju latać gdzieś w ciemno. Okej? Muszę wiedzieć co miałbym tam zrobić. Uczono mnie, żeby się nie zgadzać nigdy z góry na udział w czymś, co jest niejasne i kiedy nie wiadomo, co będę musiał zrobić... Bo co się stanie, jeżeli nie dam rady wywiązać się z

zadania, które dla mnie przygotowaliście?! Może Szczególnie Wielki Komputer się co do mnie pomylił?!

- Hmm, trudna sprawa – odezwał się profesor Gąbka. – Strach przed niebezpiecznym zadaniem to nie wstyd. Wręcz odwrotnie: nie boją się tylko głupty.

- Cieszę się, że jesteś z nami naprawdę całkowicie szczerzy. – powiedział Doktor Koyot.

- O tak, między przyjaciółmi nie ma miejsca na niedopowiedzenia – powiedział Smok.

- Tym, że jesteś za duży nie musisz się przejmować – rzekł Baltazar Gąbka – Mamy tutaj ze sobą w Latającym Talerzu całą technologię z Zimnej Planety, która dla nas ludzi, jest wręcz jak bajka i magia. Pozwala zmniejszać się i powiększać, ile się zechce razy.

- Gorzej z tym przyjacielem – włączył się Don Pedro – Bo po co nam, carramba, taki wściekły piesek, którego nikt nie lubi i który bez przerwy szczeka? Jeszcze nam ściągnie na głowę jakieś nieszczęście.

- Prawdziwy problem to z tym lataniem w ciemno. – rzekł Doktor Koyot – Przyznasz na pewno, że jako doborowa Kompania samego Profesora Gąbki nie moglibyśmy od ciebie zażądać niczego niejasnego, to znaczy niczego, pod czym byś się nie podpisał obydwoma rękami. Jednak niestety nie możemy ci powiedzieć, co masz zrobić, zanim z nami nie polecisz.

- Tak – zadumał się książę Krak – Bo przede wszystkim latający talerz jest, jak wiesz, także maszyną czasu.

- Jeżeli dowiesz się teraz, co masz zrobić – włączył się Bartolini podparłszy się na swojej różnospadzie – a potem nie polecisz z nami, to może dojść na Ziemi do Wielkiej Zmiany z powodu wiedzy, jaką posiadasz. Nie będzie to dobra zmiana, możesz nam wierzyć. Taka zmiana przyspieszyłaby jeszcze katastrofę.

- Jak w „Powrocie do Przyszłości[8]”? – zapytał Grzegorek-Samborek.

Gąbka podrapał się po głowie, ale zaraz przypomniał sobie ten film. Chodziło o to, że pewien nastolatek musiał się cofnąć w przeszłość, żeby doprowadzić do tego, aby jego rodzice mogli się na nowo poznać, bo na skutek pewnych wypadków, jakie zaszły w Przyszłości, a szczególnie wynalezienia maszyny czasu przez szalonego profesora Emmetta Lathropa Browna, w ogóle by się nie spotkali i...

-Tak, tak , dokładnie tak! – powiedział szybko profesor.

- Na dodatek Ciemne Siły są wszędzie dookoła i tylko czekają, żebyśmy tutaj i teraz opowiedzieli im wszystkie nasze tajemnice. Carramba! – wyszeptał Don Pedro przykrywając usta ręką nieprzemakalnej peleryny.

- Czarna Dziura jest według mojej teorii – powiedział profesor Gąbka – sprawcą największego zamętu w Kosmosie, a Ciemne Siły wydostają się prosto z jej wnętrza. Dlatego możemy swobodnie rozmawiać o WSZYSTKIM tylko w Latającym Talerzu i to tylko podczas jego lotu.

- Ale już całkiem najgorzej – rzekł Smok poprawiając księciu Krakowi na głowie koronę, która znów mu się lekko przy jedzeniu lodów przekrzywiła – że my sami nie wiemy co właściwie masz zrobić. Nie wie tego też, jak słyszałeś, Szczególnie Wielki Komputer. Ale to ciebie właśnie wybrał do wykonania zadania i nas wybrał, żebyśmy rozwiązali zagadkę, której rozwikłanie umożliwi ci dokonanie tego wielkiego czynu. Właściwość wyboru dokonanego przez komputer potwierdził też, wróżbą i magią, Doktor Koyot. Nim wyruszyliśmy twoją kandydaturę zatwierdzili krakowscy rajcy i sam książę Krak XXIV, za pisemną zgodą Największego Deszczowca!

Milczenie, jakie po raz trzeci tej nocy zapadło, nie było już złowróżbne, ale raczej pełne napięcia w oczekiwaniu na decyzję.

- Okej. – powiedział wreszcie Samborek zebrawszy w sobie siły.

Wszystkim spadł z serca tak wielki kamień, że mało nie unieśli się z dywanu pod sam sufit.

- Przyrzeknijcie, że zdradzicie mi wszystkie szczegóły, zaraz jak wsiądziemy na pokład Latającego Talerza. Okej? Poza tym, bez Czarnego Bola nie polecę. Nie mogę zostawić najlepszego przyjaciela, sam na sam z Panem z Głową w Chmurach!

- Zgoda! Przyrzekamy! – rzucił natychmiast Bartolini, żeby Samborek przypadkiem nie zdążył się rozmyślić – Z tą roznoszpadą to oczywiście żartowałem. Myślę, że jak przystało na obywateli Grodu Kraka z VIII wieku, a więc z czasów, kiedy nade wszystko szanowano przyrodę – zwrócił się z groźnie zmarszczoną brwią w kierunku pozostałych członków wyprawy – Nie będziemy mieli nic przeciwko temu wspaniałemu kundelkowi z sześcioma palcami?!

- Pewnie – podchwycił ochoczo Smok

- Jak znam życie – powiedział Gąbka – To jeszcze się nam na pewno przyda.

- Naresz, wspan, braw, braw!!! – wyrzucił z siebie Mądrodudek i zakręcił się w radosnym piruecie.

- Więc zgoda? – zapytał Samborek

– Zgoda!!!

- A ty, Don Pedro, też się zgadzasz na pieska?

- Jeszcze jak! Przecież nikt nie lubi zwierząt bardziej ode mnie. – wykrzyknął Don Pedro i zaraz złapał się za usta zawstydzony – Przepraszam, tę kwestię powinien był powiedzieć Smok, moja to caramaba. Carrramba!

- Wspaniale! Zatem lećmy do Tajemniczego Ogrodu po Czarnego Bolka! – Samborek nareszcie poczuł, że może złapać oddech pełną piersią. – Tylko napiszę do mamy krótki list, żeby się nie martwiła.

- Teraz wierzę, że komputer Ufolódków się nie pomylił – powiedział Doktor Koyot. – Oto, moi drodzy, człowiek, który naprawdę może dokonać wielkich czynów!

Wszyscy bili brawo, nie tylko z powodu mądrych słów Doktora Koyota, czy aby docenić moc charakteru i odwagę Samborka, ale też sobie samym, z powodu osiągniętego kompromisu[9].

Samborek tymczasem włączył komputer, który stał w kącie na biurku i po chwili list był już gotowy. A brzmiał następująco:

„Lecę Latającym Talerzem razem z profesorem Gąbką i jego Kompanią zmądrzeć i uratować Ziemię. Nie martw się. Wrócę jak załatwię tę sprawę. Okej? Będziesz ze mnie dumna 4 lipca. Na ra! Pa, pa!”

Doktor Koyot wyciągnął czarodziejską różdżkę, Bartolini, Księżę Krak, Smok i Don Pedro posprząтали szybko naczynia, wciągnęli cały bałagan na pokład Latającego Talerza i razem z Baltazarem Gąbką weszli do środka.

- Gotowy?! – zapytał Doktor Koyot – Nie chciałbym cię przestraszyć . Poza tym to nie będzie bolało.

- Gotowy! – Samborek poczuł się w tej chwili rzeczywiście gotowy na każdą przygodę i każde największe nawet niebezpieczeństwo. Przecież Ziemia czekała na ocalenie, a on miał odegrać najważniejszą rolę w tym wielkim dziele. Niestety wciąż nie wiedział, na czym to będzie polegać, ale cóż, czasami trzeba wykazać elastyczność w stosunku do twardych zasad, jakie się wyznaje. Zwłaszcza jeżeli wymaga tego Cel Wyższy[10].

Czarodziejska różdżka dotknęła czubka jego głowy i zaczął się pomniejszać jak balonik z którego uchodzi powietrze, aż zrównał się rozmiarami z Doktorem Koyotem i Mądrodudkiem. Wtedy weszli na pokład latającego talerza, a Mądrodudek zatrzęsnał otwór drzwiowy, i zakomenderował:

-Jaazzzdaaa!!!!

Latający Talerz zakręcił się , spomarańczowiał, zazielenił się na krawędziach seledynowym ogniem świetlików świętorujańskich i zniknął w jednym mgnieniu oka z Gwiazdnej Bazy Republiki na Prądniku Czerwonym. Na ekranie komputera mrugał tylko list do mamy z uśmiechniętą buźką na koniec zamiast kropki.



Rozdział 2: O tym jak działa Czarna Dziura i jak jest zbudowany Latający Talerz

Prosto z Bazy Gwiazdnej Republiki na Czerwonym Prądniku latający talerz udał się na orbitę okołozemską. Tam schował się za ISS-em czyli Międzynarodową Stacją Kosmiczną, bo Ufolódki od dawien dawna przestrzegały zasady, żeby się specjalnie ludziom nie rzucać w oczy.

- Śródgwiezdna żegluga to niełatwa sprawa – Profesor Gąbka czuł się w obowiązku objaśnić Samborkowi skomplikowane manewry latającego talerza – Prościej się czasem udać spodkiem na orbitę, niż na drugi koniec parku. Pewnie zastanawiałeś się, w jaki sposób znaleźliśmy się w twoim pokoju nie rozbijając ścian ani okien?

- Ależ tak! – wykrzyknął Samborek – Wydawało mi się, że śnię, że to kompletnie niemożliwe!

- Jak widzisz możliwe, ale trzeba się poruszać szybciej niż światło, czyli szybciej niż krążą atomy... jakby ci to wyjaśnić. To zresztą nieważne, myślę, że tego nie uczą na naszej pocziwej Ziemi nawet na studiach, a co dopiero w podstawówce. W każdym razie poruszając się szybciej niż światło poruszamy się szybciej niż atomy, a więc poruszamy się też wtedy w czasie... czyli nasz talerz staje się maszyną czasu...

- Profesorku, czy nie wydaje ci się, że to całe tłumaczenie jest niepotrzebne? – włączył się niespodzianie Doktor Koyot – Przepraszam, że się wtrącam, ale Samborek pewnie czyta

książki i ogląda telewizję, więc na pewno wie o Harrym Potterze i zna zasady poruszania się na zaczarowanej miotle. Przecież to rozumie każde dziecko i każdy uczeń pierwszej klasy Hogwartu.

- No tak – rzekł profesor Gąbka nieco zbity z tropu – Zasada jest ta sama, tylko wszystko dzieje się milion razy szybciej. W każdym razie prościej nam było z Czerwonego Prądnika na orbitę i z orbity na Czerwony Prądnik niż z twojego pokoju do Tajemniczego Ogrodu.

- Rozumiem doskonale – rzucił od niechcienia Samborek – Najszybsza miotła „Błyskawica”^[11] osiąga tylko 240 kilometrów na godzinę. Chodzi wam oczywiście o teleportację, czyli kiedy w mgnieniu oka jesteście tam, gdzie nas nie było.

Na szczęście w tym momencie weszli do głównej sterowni i Samborek nie zauważył nawet, że Baltazara Gąbkę zamurowało ze zdumienia, że on wie tak dużo o podróżach z nadświetlną prędkością i o latających miotłach.

- A nie mówiłem – Doktor Koyot wzruszył ramionami robiąc wszechwiedzącą minę i przepchnął się przez drzwi obok osłupiałego profesora Gąbki.

- O! Jak tu pięknie! – wyszeptał Samborek rozglądając się po tęczowym wnętrzu sterowni – Pokażecie mi, jak on działa?! Będę go mógł poprowadzić?!

Przez środek okrągłej kabiny od podłogi do sufitu biegła szklana kolumna, a przez nią śmigły od dołu na sam szczyt statku strumienie światła we wszystkich barwach tęczy.

- To główny silnik – wyjaśnił profesor Gąbka podążając za wzrokiem Samborka – Kolumna światło-czasowa. Maszynownia znajduje się pod pokładem sterowni, a sterownia jest pod Kajutą Łączności w Innych Wymiarach, która zajmuje sam wierzchołek naszego talerza. Zresztą może niepotrzebnie się wysilam, bo doskonale wiesz także, jak są zbudowane latające talerze?

- Szukałem kiedyś w Internecie, ale nic nie znalazłem. Szkoda, że nie zabrałem ze sobą swojego laptopa. – Samborek był autentycznie zafascynowany pulsującą kolumną – Więc to jest kolumna światło-czasowa?! Nie mogę się doczekać, żeby poprowadzić latający talerz, to musi być frajda!

- Oczywiście będziesz mógł go poprowadzić, ale trochę później. Zanim to nastąpi, musisz przejść kilka szkoleń i zdobyć kilkadziesiąt dyplomów. To skomplikowana maszyna. – powiedział profesor Gąbka.

Grzegorkowi zrzedła mina, co Smok od razu wychwycił niezawodnym okiem detektywa.

- Nie przejmuj się. Te szkolenia to pestka, a dyplomy zdobywa się tak o! – wyjaśnił Smok Wawelski strzelając z palców - Jak nie wierzysz, zapytaj Mądrodudka, on tutaj jest kapitanem i wydaje nie tylko dyplomy, ale i rozkazy. Znajdzie też dla ciebie na pewno jakiś zapasowy laptop.

- Ja, ja. Laptop dla Smbrek, ja. O tem po-tem. – wymamrotał Mądrodudek zajęty przygotowaniem do startu.

- A wy wszyscy macie te dyplomy?!

- Nie traćmy czasu na sprawy mniej ważne. – przerwał im nagle Doktor Koyot – Pomówmy o misji.

- Oho – Smok pochylił się nad Samborkiem i szepnął mu prosto do ucha – Nasz doktorek zawsze zmienia temat, kiedy padają kłopotliwe pytania.

- Tu siad! Zar star! Z luna orbit do Ogr Taj! – zakomenderował kapitan Mądrodudek.

Samborek usiadł posłusznie w fotelu, który mu wskazano.

- Cały zamieniam się w słuch – rzekł – O co w tym wszystkim chodzi? Ciekawość mnie zżera. Czy przez cały czas od 1978 roku podróżowaliście po Naszej Galaktyce?

- Wy zapinacie pasy, a ja muszę do Kajuty Innych Wymiarów – rzekł Don Pedro – A zresztą, po co wam pasy. Zanim zdążycie powiedzieć następne zdanie, już będziemy w Tajemniczym Ogrodzie. Misję sobie, carramba, oopps! – Don Pedro zaplątał się kompletnie we własną pelerynę – ...I te wszystkie sprawy... omówimy później, na księżycowej orbicie spoczynkowej, tuż przed zaśnięciem. – wysapał, po czym bęcnął na podłogę i zamarł bez ruchu.

Gdyby nie pomoc Smoka Wawelskiego Don Pedro poplątałby się doszczętnie i już tak pozostał, zawiązany we własną pelerynę jak baleron.

- Poczekaj mój drogi, rozplączę ci ręce i nogi! – zaśpiewał Smok i śpiewając rozprawił się z plątaniną. – Trzeba mieć talent, żeby tak się zagmatwać we własne kończyny.

- Rzeczywiście, carramba! – Don Pedro zrobił trzy przysiady i rozprostował fałdy peleryny udając, że nic się takiego nie stało. – Żebyś wiedział, że mam do tego talent.

- O nie, na razie nigdzie nie polecimy! – oświadczył kategorycznie Doktor Koyot zatrzymując się przy fotelu Samborka – Obiecaliśmy wyjaśnić naszemu przyjacielowi wszystko co się tylko da. I to zaraz, jak znajdziemy się na pokładzie! Słowo się rzekło, kobyłka u płota.

- Mądrodudku! – zawołał Doktor Koyot do Ufolódka, który w rogu kabiny wciskał guziki, kręcił korbkami i przestawiał wajchy na mrugającym jak nocne niebo pulpicie – Zanim wylądujemy w Tajemniczym Ogrodzie zróbmy jakieś tysiąc okrążeń Ziemi. Da się?!

- Tyś okr Ziem. Się rob! Ja-ja!

- Tysiąc okrążeń to potrwa, potrwa, zaraz... – Książę Krak poskrobał się po głowie i złapał koronę, zanim mu z niej spadła – ... Całe cztery minuty. Tyle wam wystarczy?

- Pewnie – rzekł Bartolini sadowiąc się do drugiej stronie Samborka.

- Nie rozumiem tylko Koyotku, co ma do tego wszystkiego kobyłka i płot. Wyjaśnisz mi to później – Don Pedro powstrzymał gestem Doktora Koyota, który już otwierał usta – Naprawdę bardzo się spieszę. Największy Deszczowiec czeka na sprawozdanie.

To rzekłszy Don Pedro skłonił się i wykonał dworski, pożegnalny wywijas. Nie zdążył jednak obrócić się na pięcie, kiedy pokładem latającego talerza targnął wstrząs. Don Pedro zamarł ze stopą wzniesioną w powietrze.

- Mamma mia!!! Co to?!!! – krzyknął Bartolini robiąc wielkie oczy.

Wtedy pokładem szarpnął kolejny wstrząs, a zaraz potem rozległ się potężny grzmot. Wewnątrz świetlistej kolumny, zamiast złotych i srebrzystych promieni, pojawiły się błękitne błyski, a zaraz potem strzeliły w dół granatowe strugi. Na ułamek sekundy wszyscy unieśli się w powietrze. Włączyła się też natychmiast syrena alarmowa. Don Pedro do reszty stracił równowagę i po raz drugi w ciągu jednej minuty runął prosto na cztery litery.

- Ooops, gwałtowne hamowanie?! – rzucił jeszcze lecąc na deski – ... Czy to jakaś ciemna siła przekreśliła lustra w naszym poza-czaso-światło-silniku?! – dokończył już na leżąco, masując sobie tylną część ciała.

- Awaria, awaria! – krzyczał Doktor Koyot – Awaria! Uwaga! Na mnie uwaga! Uwaga, bo ja mam lęk przestrzeni! Uwaga!

Na całe szczęście był przypięty pasami, bo inaczej biegałby w panice dookoła swojego fotela.

- Bez panik! Ja widz! Ja-ja, awa! Waria! Już działać! Ja-ja!!! – starał się ich uspokoić Mądrodudek.

Jednak nie pomogło to za bardzo, bo w kolejnej chwili światła na całym statku przygasły, a kolumna światłoczasowa zaczęła mrużyć basowo i pulsować czerwonym i fioletowym kolorem. Zdawało się, że czas się na chwilę zatrzymał.

- Zasi-lanie awa-ryjne – oznajmił komputer pokładowy.

- Katastrofa, Mamma mia, żegnaj Balbinko, żegnaj Nasturcjo... – jęknął Bartolini, bo pomyślał, że może już nigdy nie zobaczyć swojej kochanej Balbiny ani jednenaściorga uroczych dzieciaków, a zwłaszcza najulubieńszej córeczki, Nasturcji.

- Spoko – rzucił Mądrodudek - Już widz, co grane jest! Zajm ś tym! Czrn Dziur! Czas stać!!!

- Co on mówi?! – zapytał księżę Krak – Wciąż mam kłopoty z tą jego skróconą nowomową.

- Powiedział, żeby być spokojnym, już widzi co jest grane i zajmie się tym. To Czarna Dziura. Czas stanął.

- Aha – powiedział księżę Krak wyciągając spod swojego królewskiego płaszcza wielką księgę oprawną w purpurową skórę.

Na okładce księgi widniał złotymi zgłoskami napis: „Księga Pokładowa Latającego Talerza” . Księżę począł wertować dziennik pokładowy z dużą wprawą i już wkrótce znalazł interesujący go zapis.

- Więc w takim razie... no, tak – rzekł księżę – Javox, Silux i Castrol mieli dokładnie to samo, też zahaczyli o Czarną Dziurę. Tylko, że wtedy stracili tysiąc dwieście lat i wylądowali

w roku 1978. To dzięki temu spotkaliśmy ich nad Sanem i mogli zabrać nas z powrotem do Grodu Kraka, do naszego ukochanego 778 roku.

- O nie! – jęknął – Bartolini – Nie możemy sobie pozwolić na stratę kolejnych tysiąca dwustu lat. To by znaczyło, że wylądujemy dopiero w roku 3212. Wtedy już będzie po ptakach!

- Nie tylko po ptakach – odezwał się Doktor Koyot – Ale w ogóle po wszystkim. Na ziemi nie będzie też ani jednej ryby, ani jednego grzyba, ani jednego pomidora i ani jednej pietruszki do twojego herbu. Sam piasek i żadnej żywej istoty!

- To właśnie powiedziałem – powiedział Bartolini – „po ptakach” znaczy to samo co „po wszystkim”. Takie powiedzonko, Koyotku.

- Klęsk! Klęsk!!! To klęsk dla Ufo-lód!!! – zawył rozpaczliwie Mądrodudek – Ja rozpacz! Roz-pacz! Ja-ja!!!

- Nie poddawaj się tak łatwo, kapitanie! – powiedział Samborek pragnąc za wszelką cenę dodać ducha Mądrodudkowi. – Okej?

Jednak jemu samemu nie było w tym momencie lekko na duszy. Także przeżywał stan bliski rozpacz. Przecież przygoda jeszcze się na dobre nie zaczęła, a zanosilo się, że zaraz się fatalnie skończy?! Czyżby babcia, która zawsze krakała: nie rób tego, bo sobie zrobisz to a to, nie ruszaj tego, bo ci spadnie tam a tam, nie dotykaj tego, bo cię kopnie, nie odzywaj się, bo sobie ściągniesz na głowę to i tamto – miała rację?!

Trzeba powiedzieć, że sytuacja na pokładzie latającego talerza stała się naprawdę bardzo poważna. No bo skoro jego kapitan popadł w rozpacz, to co mieli począć ze sobą zwyczajni pasażerowie? Na szczęście był jeszcze pokładowy komputer.

- Czas nie stać w miejsc, nie całkiem stać. – oznajmił komputer pokładowy – Posuwać się. Powoli. Powoli. Do przodu. Bardzo wolno. Tysiąc okrążeń nie cztery minuty. Tysiąc okrążeń cztery godziny. Pokład czysty. Siły Nieczyste, Ciemne brak. Bariera ochronna pod napięciem... Jesteśmy w Pozaprzestrzeni[12].

- Wiem, to znaczy poza czasoprzestrzenią – zawołał Samborek – Jesteśmy tam gdzie znikają statki w Gwiezdnym Wojnach, tam gdzie gwiazdy stają się srebrnymi kreskami i zapada ciemność! To dokładnie tak samo jak przy teleportacji.

- Racja. Samborek racja mieć. – powiedział komputer pokładowy – Jesteśmy między być a nie być. Te czerwone i fioletowe strugi to nici czasu, one wiążą nas ze strumieniem, a strumień trafiać do rzeki. Rzeka Czasu – czasoprzestrzeń. Nasz statek iść na właściwy nurt. Przeskok w czasie cztery minuty, ale dla nas cztery godziny. Nie grozi to co Javox, Siluks, Castrol. Czarna Dziura nas lekko przyhaczyć... za ogon.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, a Bartolini odetchnął tak głęboko, że byłby zdmuchnął kraciasty kaszkiet z głowy Wawelskiego Smoka.

- Za ogon?! – zdziwił się Doktor Koyot – Przecież my nie mamy ogona?!

- Oj doktorek. Nie bądźmy tak drobiazgowi. Powiedzmy, że nas przyhaczyć za dolną antenkę – rzekł nieco naburmuszonym tonem komputer pokładowy.

- Dobrze, że cztery godziny a nie cztery dni, bo bym się tu zanudził na śmierć – stwierdził już całkiem rozpozgodzony Bartolini – Ale, ale, czemu to od dobrej chwili nic nie mówisz, nasz Smosiu?!

Smok przetarł oczy i ziewnął szeroko.

- Przepraszam. Chyba przysnąłem – powiedział – Maam jaaszczuurzy refleks, zwłaaszca, kiedy roobi się ziiimno. Zauważyyyyliscie, żeeee zrobiiloooo sięęęę ziiimnoooo, jak w lodóóóówce? – Smok w rzeczy samej mówił bardzo powoli i cooraz, coooooooraaz woooooooolnieej.

- Przepraszac, ja zapomniec, że miec gości z Ziemi na pokładzie. Goście z Ziemi żywi. Już ogrzewanie awaryjne włączać. – oświadczył komputer pokładowy.

Gdy tylko awaryjne ogrzewanie zostało włączone, Mądrodudek natychmiast podpiął się do kontaktu. Oczy mu pojaśniały.

- Uf- sapnął – Jak tyłk spad mi napięcie, zar siad mi nastr. Już dobrz, ja-ja!

(Co znaczyło, że kiedy mu spada napięcie to siada mu też nastrój, ale że już jest dobrze).

Nie pozostawało im teraz nic innego, jak jakoś przetrwać na orbicie okołoziemskiej cztery godziny. Teraz było dość czasu, żeby wyjaśnić Samborkowi szczegóły misji i jeszcze oprowadzić go po latającym talerzu.

- Tu Zenobia, tu Zenobia! X 51 zgłoś się! – rozlegało się regularnie z małego pomieszczenia Kajuty Łączności w Innych Wymiarach.

Kajuta Łączności znajdowała się na samiuteńkim wierzchołku latającego talerza. Wiodły do niej schody okręcone wokół kolumny światło-czasowej. Jako że wymiary, z którymi się łączyło przez tę kajutę były inne, to i ona sama musiała mieć inne wymiary. W rzeczy samej posiadała rozmiary bardzo malutkie. Mieścił się w niej jedynie Don Pedro pomniejszony jakieś tysiąc razy i ponadczasowy nadajnik, nie większy niż pestka z jabłka. Z konieczności więc Samborek z profesorem Gąbką przystanęli w otwartych drzwiach kajuty. Przed chwilą Don Pedro nawiązał łączność z Największym Deszczowcem przebywającym w Krainie Mypingów i był z tego powodu wniebowzięty, ale też mocno zakręcony.

-Tu X51 – rzucił w mikrofon mini-komórki, podłączonej do niewielkiego jak mini-gruszka dynama. Na pionowej mini-antence cienkiej niczym włos łosia kręcił się nadajnik w kształcie mini-banana. Na stu mini-zegarach skoczyły nagle małe wskazówki a w stu mini-okienkach poruszyły się mini-wskaźniki. – Słyszę cię dobrze – rzucił Don Pedro do mini-komórki[13].

- Te wskazówki pokazują czas na Całej Drodze Mlecznej – objaśnił Don Pedro Samborkowi – A te wskaźniki ukazują połączenia w czasie i przestrzeni. Przepraszam, ale teraz nie mam już więcej czasu, wskaźnik wskazał, że kontakt będzie hiper-krótki, a wskazówka pokazuje, że w Krainie Mypingów już czas na sen nocny. A ja mam w tym hiper-krótkim czasie do przekazania bardzo dużo hiper-długich i super-ważnych wiadomości dla Największego

Deszczowca. Zaraz potem muszę też włączyć podsłuch wszystkich stacji radiowych nad Wisłą. Najwięcej o tym co dzieje się złego i kto najbardziej broi można się dowiedzieć z lokalnych wiadomości! To nam pomoże znaleźć wodza Guiltów.

Odwrócił się do mini-komórki i zupełnie nie zwracając na nich uwagi, zaczął relację z lądowania w Grodzie Kraka oraz z niedawnej awarii. Profesorowi Gąbce i Samborkowi nie pozostało więc nic innego, jak się dyskretnie oddalić.

Od godziny już zwiedzali latający talerz, oczekując, że komputer pokładowy być może wcześniej, niż to było zapowiadane poradzi sobie z atakiem Czarnej Dziury i czas zacznie lecieć normalnie. Ale póki co nic się nie dało zrobić i czas włókł się nadal jak makaron spaghetti.

- Jednego jestem bardzo ciekaw, profesorku – powiedział Samborek – Kiedy nas przyhaczyła ta Czarna Dziura, właśnie zadałem to pytanie, ale nikt mi nie zdążył odpowiedzieć. Co właściwie działo się dalej, jak już Javox, Silux i Castrol zabrali was z łąki nad Sanem? Czy to znaczy, że przez całe 34 lata podróżujecie z UFOlódkami po Wszechświecie? Czy byliście na Lodowie, kiedy miał miejsce ten wypadek z umklajderem?!

- Byliśmy w wielu dziwnych miejscach i podróżowaliśmy bardzo długo, ale machina czasu sprawiła, że to trwało mniej niż rok. Odwiedziliśmy wiele planet w tym Naboo, gdzie spędziliśmy też chwilę w podwodnym świecie Gunganów. Odwiedziliśmy i B 612, ale nie zastaliśmy tam Małego Księcia.

Podążali teraz w dół ślimakowatymi schodami, powiększając się o jedną wielkość z każdym stopniem. Gdyby tych stopni było tysiąc, powiększyli by się do całkiem normalnej wielkości, ale było ich tylko sto.

- Byliśmy też na Tatoonie [\[14\]](#). To tam zobaczyliśmy, do czego może doprowadzić utopia postępu i niekontrolowana technologia. Cała planeta była jedną wielką pustynią. Po lasach i rzekach pozostały im tylko wspomnienia na starych filmach.

Po kolejnych trzech godzinach nic się nie zmieniło. Profesor Gąbka nadal opowiadał Samborkowi o różnych szczegółach ich ważnej misji, a także objaśniał zawłości budowy latającego talerza. My opowiemy sobie te wszystkie szczegóły później, żeby teraz już niepotrzebnie nie tracić czasu. Zwłaszcza, że obie te opowieści zabrzmiały o wiele ciekawiej w normalnym, niż w zwolnionym przez Czarną Dziurę tempie. Jednak Samborek nie narzekał, bo tego wszystkiego, co wtedy usłyszał, wcale dotąd nie wiedział.

Warto tu może wspomnieć, iż rozpacz UFOlódka Mądrodudka w momencie katastrofy była uzasadniona. UFOludzie odwiedzali Ziemię i badali jej stan już od ponad stu lat. Przez cały czas śledzili, co się u nas dzieje, bo chociaż Ziemia leży na skraju Mlecznej Drogi i wydaje się jedną z miliarda nieważnych, małych planetek krążących wokół miliona przeciętnych jak nasze Słońce gwiazd, to jest w istocie najważniejszym miejscem w całym Kosmosie.

- Ale dlaczego? – dopytywał się Samborek – Dlaczego profesorku, Ziemia jest najważniejsza, skoro jest tak przeciętna, jak każde inne ziarnko piasku na plaży większej niż cała Sahara?

Z relacji profesora Gąbki wynikało jasno, że według Szczególnie Wielkiego Komputera Lodowy tylko my, Ziemianie, mamy w sobie to coś, co miał w sobie i Samborek – zdolność

do dokonywania wielkich czynów. Na innych planetach żyli tylko przeciętni zjadacze chleba i nikt w całym kosmosie niczym specjalnym nie wybijał się ponad przeciętność. Na Ziemi było inaczej. Oprócz osób zdolnych do bohaterskich czynów była też grupa bardzo zdolnych Zgadywaczy i Rozwiązywaczy Zagadek. A oprócz zdolnych Zgadywaczy i Rozwiązywaczy żyli też na Ziemi wyjątkowo zdolni Ogłupiacze i Szkodliwcy. Zgadywacze mieli szansę rozwiązać Zagadkę Czarnej Dziury, ale w tym musieli im pomóc bohaterowie. W przeciwnym razie zwyciężyliby napędzani przez Ciemne Moce Szkodliwcy i Ogłupiacze. Szczególnie Wielki Komputer Lodowy przekazał te wiadomości Kompanii Profesora Gąbki razem z teorią, według której we Wszechświecie cały czas toczy się walka między Siłami Jasności, które są Siłami Życia i Siłami Ciemności, które są niewidzialnymi Siłami Bez-życia.

- Czy to znaczy – zapytał na koniec Samborek – Że Czarna Dziura nie tylko wszystko pożera tą swoją czarną przepastną, paskudną gębą, ale także wyrzuca z niej w nasz piękny Kosmos śmiercionośne promienie i niewidzialne złe fluidy?

- Dokładnie tak. I nie tylko. – Profesor Gąbka zamyślił się.

Właśnie weszli do maszynowni latającego talerza.

– Śmiercionośne promienie nie są najstraszniejsze. Siły Ciemności wciskają się wszędzie i szkodzą jak tylko się da. Już starożytnym Grekom znana była zła bogini Licho, którą nazywali też Lihesis. To ona dowodziła i nadal dowodzi Siłami Ciemności, które co prawda przybierają różne postacie, ale najchętniej wcielają się w ciemne duszki-szkodniki: liszki i paskudniki. Promienie wciskają się też w umysły samych ludzi i wykrzywają im w głowach obraz świata. Najgorsze ze wszystkiego są ciemne fluidy, które sprawiają, że ludzie zaczynają widzieć świat jak w krzywym zwierciadle. Zapominają co jest najważniejsze dla nich samych, dla przyrody i dla całej Ziemi. Pod wpływem tych fluidów zaczynają myśleć, że tylko ich potrzeby się liczą. Ze zwykłych ludzi przeradzają się w ohydnych Guiltów, czyli Gnomów Utopii i Lobby Technologicznego [\[15\]](#). Pozornie wyglądają na normalnych ludzi, ale w głowach mają tylko jedno – manię postępu i utopię technologii. Ciemne Siły podszeptują im wszystko, co najgorsze, co złe dla Siły Życia. A oni realizują każdy śmiercionośny dla życia pomysł i wytwarzają coraz szkodliwsze dla Ziemi urządzenia.

Samborek zatroskał się bardzo, patrząc na czterdzieści cztery turbiny włączające czasoprzestrzeń do kolumny światło-czasowej. Do jego głowy wkradły się właśnie ciemne myśli. Przestał na chwilę wierzyć, że można pokonać tak przebiegłego przeciwnika.

- A jak ich poznamy, tych ludzi?! Ilu ich jest?! Gdzie oni są?! Czy to możliwe, że uda nam się zwyciężyć tak potężnego wroga?! Przecież nawet teraz kręcimy się w kółko, a czas biegnie naprzód?!

- Podobno są gdzieś tutaj. Blisko. Dlatego właśnie tutaj przylecieliśmy. – rzekł profesor Gąbka i wskazał na jedną z turbin – Popatrz, każda turbina ma 365 łopatek, a każda łopaska składała się z 24 umklajderów, a każdy z nich ma po 60 diamentów nie większych niż główka szpilki, a na każdej główce od szpilki tańczy

- Godzina zero! Eoo, eoo! – obwieścił nareszcie komputer pokładowy – Zapraszać do kabiny sterowniczej. Proszę siadać i pasy zapinać. Za chwilę lądować w tajemniczy ogród. Prosić do kabiny... Eoo, eoo! Prosić do kabiny sterowniczej! – rozległo się po wszystkich pokładach.

- Chodźmy – profesor pociągnął Samborka za sobą – Trzeba się spieszyć. Może mamy aż tylu wrogów, że ich nie zdołasz policzyć, ale nie mamy wyboru. Są pewne wskazówki zapisane w starych księgach, o których nam powiedział eSWuKaeL. Właściwie w jednej, w „Księdze zaklęć i czarów” Mistrza Jana Twardowskiego[16], która znajduje się ponoć w Bibliotece Jagiellońskiej. Musimy rozwiązać zagadkę i wykazać się najwyższą odwagą. Wiemy, że Klucz do Zmiany leży w Królestwie Bocianów i Tysiąca Nenufarowych Jezior. Chyba, że oddamy pole bez walki i pogodzimy się z tym, że 21 grudnia 2012 roku zajdzie rzecz nieodwracalna. Zacznie się Koniec Świata, czyli koniec życia na Ziemi. Doktor Koyot twierdzi, że Licho właśnie się zbliża do naszej planety. Gdzieś na tej pięknej ziemi nad Wisłą wylądowały już jej pomocnicze armie niełychych liszków i paskudnych paskudników. To niby psotliwe duszki, ale tak naprawdę bardzo groźne szkodliwe istoty. Wywołały już wiele katastrof i zacierają ręce za każdym razem, kiedy coś się komuś nie uda. Musimy też koniecznie odnaleźć na Ziemi najważniejszych popleczników Czarnej Dziury wśród ludzi, GUILTów. To oni są głównymi Szkodliwcami i Ogłupiaczami.

Samborek i Profesor przyspieszyli znacznie kroku, ponieważ po drodze zdążył ich minąć pędzący ze szczytu talerza Don Pedro, a wszyscy pozostali siedzieli już posłusznie w fotelach i mieli zapięte pasy.

- Złapałem na nasłuchu bardzo ważną wiadomość – rzucił im w przelocie Don Pedro i tyle go widzieli.

W ostatniej chwili wpadli do sterowni i zatrzasnęli klamry na brzuchach. Niskie buczenie światło-czaso-kolumny przeszło w wysoki świst a kolor światła zmienił się z czerwonego na pomarańczowy, a potem na żółty. Szybkie promienie jak świetliste igły poszybowały prosto ku górze.

- Nie poddamy się – zdążył powiedzieć do profesora Samborek, zanim kolumna zrobiła się srebrna i niebieska.

- Pewnie, że nie – zabasował mu Smok.

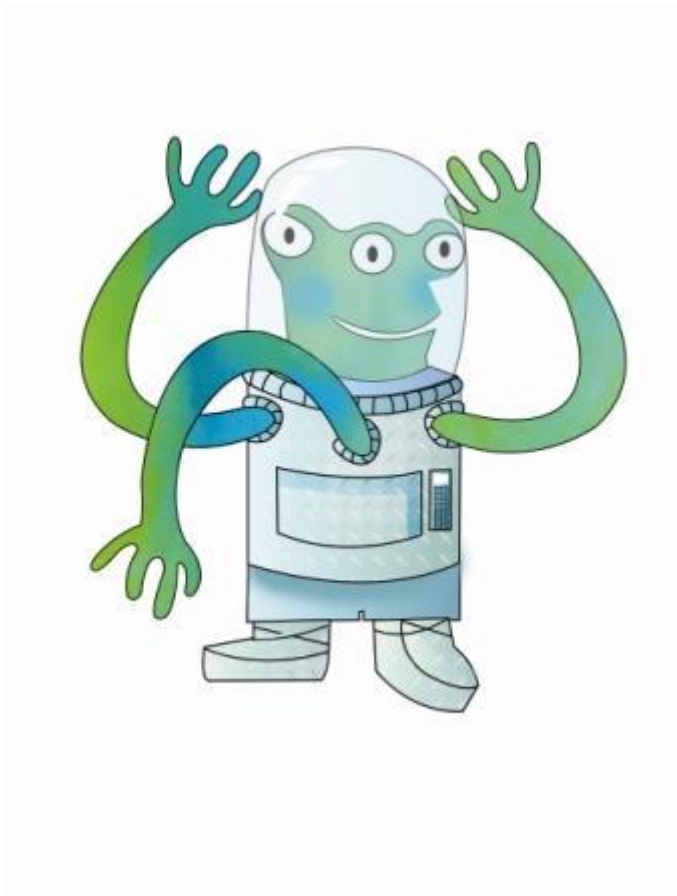
- Znowu jestem głodny – stwierdził Bartolini ze zdziwieniem, kiedy kolumna pozieleniała i zaczęła drżeć niczym liść na wietrze.

Szarpnęło, zagrzechotało i ruszyli z kopyta. Byli znowu we właściwym czasie i we właściwym miejscu. Na ekranie pulpitu sterowniczego pojawiły się dobrze znane Samborkowi zarośla Tajemniczego Ogrodu. W oknie otoczonego drzewami i zaroślami domku Pana z Głową w Chmurach właśnie zgasło światło. Oko kamery wychwyciło także czarno-białą, kudłatą postać, wypisz wymaluj przybłędę rasy mniej więcej papillon, z sześcioma palcami u przedniej łapy.

- Nic dziwnego Bartłomieju, że jesteś głodny – powiedział z miną wszechwiedzącego znawcy Doktor Koyot. (Jak wiadomo, był on nie tylko czarownikiem, ale także lekarzem. A lekarze po prostu tak już mają. Rodzą się z taką miną.) – W końcu od ostatniego posiłku minęły ponad cztery godziny.

Z zewnątrz rozległo się dzikie ujadanie.

- Szybko, otwórzcie drzwi! – zawołał Samborek i pobiegł do wjazdu – Muszę go uspokoić, bo zaraz zbudzi Pana z Głową w Chmurach, a wtedy będziemy się mieli z pyszna.



Rozdział 3 – Bitwa w Tajemniczym Ogrodzie

Samborek wypadł z latającego talerza prosto na zaskoczzonego Bola. Pies w pierwszej chwili zamarł w bezruchu, ale zaraz rozpoznał przyjaciela, choć ten był trochę mniejszych rozmiarów. Na szczęście światło w oknie nie zapaliło się ponownie. Pan z Głową w Chmurach musiał mocno zasnąć po wyczerpującym pisaniu. On wciąż coś pisał i pisał – nie wiadomo co. Czarny Bolo przypadł do Samborka, stanął na dwóch łapach, położył uszy po sobie tak, że zupełnie znikły, zakręcił młynka ogonem i wyszczerzył w całej okazałości roześmianą paszczę. W jego psim języku znaczyło to: okropnie się cieszę, że cię widzę, drogi przyjacielu. Zaraz też na potwierdzenie tych słów śmajdnął Samborka przez twarz trzema długimi pociągnięciami mokrego jęzora. Co za szczęście – pomyślał Samborek – Mieć kogoś, kto tak potrafi człowieka przywitać!

Głaskaniom i tańcom powitalnym nie byłoby końca, gdyby zaraz za Samborkiem nie poczęli wyskakiwać z Talerza pozostali uczestnicy wyprawy. Pierwszy wyszedł książę Krak. Czarny Bolo uważnie przyglądał się jego królewskiemu płaszczowi i złotej koronie, jak zwykle siedzącej nieco krzywo na bujnych książęcych włosach. Potem ukazał się Baltazar Gąbka ze szkłem powiększającym i Doktor Koyot z umklajderem gotowym do natychmiastowego działania. Na widok jak zwykle zielonego na twarzy Don Pedra, który szeptał coś do swojej peleryny, Bolo tylko zawarczał, ale kiedy zobaczył Mądrodudka szczeka opadła mu do ziemi.

- To moi bardzo dobrzy znajomi. Okej? – powiedział Samborek widząc mieszane uczucia na jego pysku – Możesz się nie obawiać, nie zrobią tutaj niczego niewłaściwego.

Naprawdę źle zrobiło się wtedy, kiedy z talerza wyłonił się posuwistym krokiem szermierza Bartolini z roznoszpadą na sztorc, a za nim potężny Wawelski Smok. Tego piesek już nie wytrzymał i rozwarczał się na całego, po czym raz szczeknął grubo, cztery razy cienko i trzy razy w tonie niezdecydowanym.

- How, hooow, how-how, Hawr – powiedział do Czarnego Bola Doktor Koyot.

Bolo na te słowa zmachał ogonem przyjaźnie i odpowiedział cicho i grzecznie:

- Hawr, wr, ummm!

-Już dobrze – rzekł do Samborka Doktor Koyot – Jak widzisz, dogadaliśmy się. Samborek przedstawił Bolowi swoich przyjaciół a Doktor Koyot bez trudu przetłumaczył wszystkie imiona na psi język. Czarny Bolo od razu zaprzyjaźnił się z Bartolinim, który na końcu swojego szpikulca miał dla niego, niespodziankę – kilka plasterów boczku z szaszłyka.

- Masz piesku – powiedział Bartolini – Od razu o tobie pomyślałem, jeszcze podczas naszej kolacji.

Smok przystanął i ciekawie rozglądnął się po ogrodzie. Wciąż było jeszcze ciemno, ale pierwsze słowiki rozpoczynały próbne trele, a księżyc rozświetlał noc. Na liściach róż i jaśminów perliła się rosa. Smok zaczerpnęła powietrza pełną piersią.

- Jak tu pięknie pachnie. Ten ogród jest cudowny. Wcale się nie dziwię, że Czarny Bolo pilnuje go jak twierdzy.

Wszyscy przybysze porozchodzili się po ogrodzie oczarowani jego spokojem i zapachem. Bolowi nie bardzo się to podobało, ale po krótkiej walce wewnętrznej postanowił im zaufać.

- Nie tylko jest cudowny, ale jest też naprawdę tajemniczy – powiedział książę Krak – Popatrzcie – wskazał złotym berłem w cztery rogi ogrodu. – W północnym rogu rośnie wielki stary dąb, w południowym przepiękna lipa. O tej porze dnia, tuż przed świtem, zapach jej kwiatów jest najprzyjemniejszy, ale najmocniej pachnie w samo południe. Nad wschodnim narożnikiem czuwa brzoza. Jest taka duża, że ma pewnie ponad dwieście lat. A zachodni narożnik zamyka jodła, pod którą rosną kolczaste tarniny i głogi. To wygląda dokładnie jak święte gaje w naszych czasach. Dąb jest drzewem Peruna, Lipa to drzewo Bogini Nieba i Światła Dnia, Jodła należy do Welesa, a głóg i tarnina do innych władców Zaświatów – one wszystkie są symbolami Wieczystego Nieziemskiego Lasu – Rajca... założę się, że rosną tutaj nie tylko drzewa i krzewy wszystkich naszych bogów, ale także ich kwiaty i zioła – te do

leczenia i te do jedzenia, i te na wieńce! Bartłomieju, Koyotku, rozejrzyjcie się, na pewno muszą tu być zioła.

- Są! Oczywiście że są! – zwołał Baltazar Gąbka odrywając swoje potężne szkło powiększające od powierzchni niepozornego różowego kwiatka. To coś dla ciebie Bartłomieju, tymianek. A tam - wskazał na wysoki na ponad metr żółty świecznik wyrastający spośród sercowatych wielkich liści - dziewanna, na wieńce dla pięknej Dzikiej Pani Łąk, Dziewanny. A to? Zobacz Koyotku, to przecież tojad mordownik – zioło welesowe, straszliwa trucizna...

- Masz rację, profesorku – powiedział Doktor Koyot rozcierając na palcach wyglądający niewinnie szafirowy pantofelek tego roślinnego zabójcy. – To straszliwa trucizna, która jednak podana w małych dawkach może wyleczyć bardzo ciężkie choroby.

- Jesteśmy zatem w świętym gaju – rzekł ściszym szeptem Don Pedro – czy z tego nam nie wynika, że Pan z Głową w Chmurach jest po prostu czarodziejem, który zaplątał się w niewłaściwe czasy?

- Nie wygląda mi na czarodzieja – powiedział Samborek – Nie ma telewizora, ani telefonu, nie ma nawet radia, a często też nie ma w ogóle prądu, bo mu go odłączają. Pod tą brzozą uprawia marchewkę i inne warzywa, a tutaj niedaleko lipy zbiera gruszki i śliwki, ma tam też porzeczki i agrest.

- Czy sądzisz, że biedak nie może być czarodziejem?! – zapytał Smok.

- Nie, skądże – obruszył się Samborek – Ale gdyby był czarodziejem, to sam by sobie wszystko wyczarował, a jemu bez przerwy czegoś brakuje. Nie ma nawet dwóch takich samych butów, tylko zawsze lewy jest inny od prawego, a przez dziury w parasolu zawsze mu kapie na głowę. Żal mi go czasem, ale on od nikogo nie przyjmuje pomocy.

- Agrest – zaciekawił się Bartolini – Powinien być już dojrzały, a nie ma na świecie nic wspanialszego, jak dobrze przyrządzony dżem agrestowy. To mi przypomina, że przydałoby się przekąsić małe co nieco.

- Mnie też kiszki marsza grają – obwieścił tubalnym basem Smok Wawelski, a Mądrodudek zagrzechotał metalowymi łąpkami na potwierdzenie, że dolega mu to samo.

- Zarządzam więc nocną naradę w Tajemniczym Ogrodzie – obwieścił księżę Krak – Obradom będzie towarzyszyć skromna uczta, wczesne śniadanie, złożone z suchego prowiantu i soków owocowych. Tylko gdzie my się ulokujemy? Widzę tutaj jakąś zapuszczoną altankę....

- Tylko nie to! – Czarny Bolo zagroził księciu drogę własną pierśią i zawarczał złowrogo – Wrrr. Tam straszny! Ja mam bardzo piękną, obszerną budę – zamerdał ogonem i liznął władcę przez policzek. – Zapraszam do siebie. Na szczęście nie jesteście tak duzi, żeby się w niej nie zmieścić. Jeszcze zostanie sporo wolnego miejsca na ganku. Bo ja mam budę z gankiem!

- Nie mówiłeś Samborku, że Czarny Bolo żyje tutaj w takim luksusie. – powiedział Bartolini.

-Dobra buda jest ważna – zauważył Doktor Koyot – Ale nie zastąpi przyjaźni, czulej opieki, ani uwagi drugiej osoby.

- Dobrze powiedziane. – oświadczył książę Krak – Zastanawiam się tylko, czy nam wypada odbywać tak poważną naradę w psiej budzie? Ja, jako książę nie mam co prawda żadnych uprzedzeń ani kompleksów, ale co na to moi poddani?! Czyli wy, moi kochani?!

- Gospodarz zaprosił nas tak pięknym liźnięciem, że byłby wstyd odmówić temu uprzejmemu zaproszeniu. No to fru, ruszajmy! – powiedział Doktor Koyot.

- Co racja to racja – potwierdził Smok – Chodźmy już bo, umieram z głodu.

Pozostali zgodzili się ze słowami Doktora Koyota i Smoka Wawelskiego bez zastrzeżeń. Bartolini poprosił Doktora Koyota i Don Pedra oraz Mądrodudka o pomoc i zniknęli na chwilę we wnętrzu latającego talerza.

-Trzeba by ten talerz jakoś zakamufłować – Smok krytycznym okiem oceniał srebrzysty dysk leżący pomiędzy główkami kapusty i kwiatami kalafiorów. – Tam pod ścianą domu stoją tyczki do fasoli. Proponuję zrobić mu wigwam i przyozdobić go fasolką szparagową.

-Super – powiedział Samborek – Ty masz łepetynę Smoku, ja nie wpadłbym na tak świetny pomysł.

We dwójkę przynieśli tyczki i ustawili je dookoła talerza tworząc nad nim stożek. Gdy Bartolini i pozostali wyszli z latającego talerza a Mądrodudek zatrzasnął właz i włączył autoalarm, nasi podróżnicy zebrali z kopki kompostowej łąty po fasolce i okręcili nimi dookoła wszystkie tyczki. Powstał całkiem zgrabny prowizoryczny namiot.

- Dopiero teraz przyszło mi do głowy – rzekł Koyot, kiedy już ułożył ozdobnie na froncie wigwamu okazały strąk fasoli – Że mogłem to wszystko zrobić na pstryk, czarodziejską różdżką.

- Nic się nie stało – stwierdził Smok – praca fizyczna rozwija mięśnie, a ty przynajmniej zachowałeś swoją moc nienaruszoną na inne, ważniejsze okazje.

-Pięknie – ocenił wspólne dzieło książę Krak – Teraz możemy spokojnie iść na śniadanie. No i trzeba wyjaśnić Czarnemu Bolowi, po co tutaj przybyliśmy, żeby zechciał z nami polecieć.

Po tych słowach księcia wszyscy żwawym, żeby nie powiedzieć wyjątkowo szybkim, krokiem udali się w stronę psiej budy. Ich marsz był tak szybki, ponieważ najzwyczajniej w świecie poganiał ich Głód, wielki i odwieczny wróg ludzkości, który od tysiącleci nie opuszcza żadnej szerokości geograficznej naszej planety i co najmniej kilka razy dziennie zagania wszystkich do michy.

Czarny Bolo skończył obgryzanie ostatniej kosteczki z kurzych udek, po czym umył łapy w miseczce z wodą i wytarł je papierowym ręcznikiem. Na pewno nie był zwyczajnym psem przybłądą i miał swoje zwyczaje, żeby nie powiedzieć „maniery”, związane z rasą papillon i miejscem jej pochodzenia, czyli francuskim dworem. Co prawda na początku uczył zachował się wobec Don Pedra nie do końca jak gościnny gospodarz, ale miał swoje racje. To gospodarz wskazuje gościom miejsca przy stole, a nie na odwrót. Więc kiedy Don Pedro zajął

jego stałe miejsce powiedział tylko krótko – Wrrrh, ty tam! To moje. Wrr! – i wskazał Don Pedrowi miejsce z daleka od siebie, po drugiej stronie. Ten, widząc odsłonięte długie białe kły, nie dyskutował.

Czarny Bolo z uwagą wysłuchał opowieści znajomych Samborka, które spadły na niego jak grom z jasnego nieba, a raczej jak sto gromów, bo tyle tych szokujących wieści było na raz. Nie za bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Im dłużej myślał, tym więcej przybywało różnych „za” i „przeciw”, a im więcej ich było, tym trudniej było podjąć jakąś decyzję.

Biesiada dobiegła końca, wyjaśnienia także i wszyscy w milczeniu czekali, co też powie Bolo. Bolo po obfitym posiłku najchętniej by się przespał, a decyzję odłożył do rana, ale to nie wchodziło w grę. Niegrzecznie byłoby kazać czekać tak długo tak zacnemu audytorium.

- Jesteście pewni, że te nieliche liszki i paskudne paskudniki już wylądowały na Ziemi i że zrobiły tę paskudną rzecz właśnie tutaj, nad naszą piękną rzeką Wisłą?!

- Niestety tak. – Doktor Koyot pokiwał głową ze smutkiem.

- Czy Ziemi naprawdę zagraża zagłada? – dopytywał się Czarny Bolo.

- Środowisko Ziemi zostało zaatakowane już dawno – rzekł Doktor Koyot – Teraz ta robota zmierza do strasznego finału. Mamy Efekt Ciepłarniany, Dziury Ozonowe, Skażenia Radioaktywne, Niezniszczalne Śmieci, Zdziesiątkowane Puszcze i Bory, masowe Wymieranie Całych Gatunków w przyrodzie, Zanieczyszczone Oceany, Zabudowaną Miastami planetę, Kosmos pełen Złomu, który nam zaraz spadnie na głowę – Doktor Koyot aż stracił dech wymieniając ciurkiem te wszystkie okropne plagi ludzkości.

- Nie zapominaj, Zatruty Eter – dorzucił Don Pedro – Eter jest wypełniony po brzegi, i to czym, jakimś jazgotem, hałasem, kłamstwami i bzdurami, falami radiowymi i elektromagnetycznymi...

- Można by tak ciągnąć w nieskończoność, ale najgorszy jest Zatruty Eter – powiedział poważnie książę Krak – To święte miejsce, zawsze ciche i spokojne, gdzie od tysiącleci gromadziły się dobre duchy opiekuńcze Ziemi, które teraz nie mogą tam przebywać. Już sam Zatruty Eter wystarczy, żeby się stało coś złego. To wszystko jest wynikiem działalności nierozważnych ludzi, którzy łatwo ulegają wpływom Ciemnych Sił.

Czarny Bolo popatrywał po nich, nadal nie mogąc się zdecydować.

-Hawk! – powiedział w końcu – Nie mogę zostawić tutaj Pana z Głową w Chmurach samego. Od jakiegoś czasu nasz ogród jest areną żartowej walki. Jakieś szkodniki niszczą uprawy, wyżerają buraki i miętę. Tylko ja mogę mu pomóc ocalić ogród.

- W takim razie ja też nie polecę. Okej? – powiedział Samborek – Nie zostawię przyjaciela.

Zapadła cisza.

- To klops. – powiedział w końcu Bartolini – Niezła potrawa, ale niefajna sprawa.

- Jesteś pewny, Bolu?! – zapytał Samborek, który już przywykł do myśli, że uratuje Ziemię – Sprawa jest bardzo poważna.

- Muszę to jeszcze raz przemyśleć – rzekł Czarny Bolo – Hawk!

Wszyscy czekali w napięciu, ale myślenie szło Prawie Papillonowi coraz ciężiej. „Za” zdecydowanie przybyło. Było ich już tyle, że aż za dużo. Ale wciąż było to jedno małe „ale”.

- Czy mi się zdawało –zwrócił się Samborek do Don Pedra, żeby przełamać dojmującą ciszę – że mijając nas pędem z Kajuty Innych Wymiarów rzuciłeś, że złapałeś z nasłuchu jakąś ważną wiadomość?!

- Ach, carramba! – Don Pedro złapał się za głowę i pacnął się w czoło – Zapomniałem, na śmierć! Miałem wam o tym powiedzieć!

- Więc?!

- Z radiowego nasłuchu wynika, że szefem Guiltów jest niejaki Marszałek Zmora. To nazwisko powtarza się w wiadomościach we wszystkich stacjach i bardzo wiele się o nim mówi. Podobno przewodzi on Najbardziej Oświeconej Radzie, która się zbiera co trzy dni w Sali Kandelabrowej w Warszawie. Z tego, co zrozumiałem, rada ta podejmuje najgłupsze możliwe decyzje w najkrótszym możliwym czasie.

- A kim on jest poza tym? – zapytał księżę Krak.

- Bardzo mało wiadomo na ten temat – przynajmniej z radia, telewizji i Internetu. Poza tym, że jest Prezesem Najjaśniejszej Rady, jest też właścicielem potężnej Korporacji Od Pomysłu Do Przemysłu (w skrócie KOP do P) i koncernu medialnego Nic Poza Tym. Nie wiem dlaczego nazywają go marszałkiem, bo nie jest nawet wojskowym. Podobno stara się o posadę doradcy samego Prezydenta, a pozostali członkowie Najjaśniejszej Rady są już doradcami w bardzo ważnych instytucjach. Może czegoś więcej dowiemy się w Warszawie?

Bolo wciąż myślał i myślał, ale nie mógł nic wymyślić.

- Bardzo ciekawe – rzekł profesor Gąbka.

- I przerażające – dorzucił Doktor Koyot.

- Poradzimy sobie – uspokoił ich Smok Wawelski, z czułością nabijając swoją ulubioną fajkę.

- Pewnie – zawtórował mu Samborek, natchnięty jego optymizmem.

- Pwn! Ja-ja! – potwierdził Mądrodudek.

Wtedy rozległ się hałas, jakby coś spadło na dach psiej budy. Bartolini wyteżył słuch i mimowolnie ścisnął w rękę różnoszpade. Po pierwszym uderzeniu nastąpiło drugie, a po nim trzecie i czwarte. Towarzyszyły im takie wstrząsy i odgłosy, jakby ktoś rzucał w budę kamieniami i grudami ziemi. Czarny Bolo ruszył na ganek, żeby sprawdzić co się dzieje. Nie zdążył nawet dobrze wystawić głowy, gdy zasypały go kolejne pociski. Teraz rozszalała się już potężna kanonada, a buda podrygiwała, jak podczas trzęsienia ziemi. Profesor Gąbka

wyjrzał przez małe boczne okienko w samą porę, żeby dostrzec wyjątkowo paskudnego paskudnika, który zamachnął się i z całej siły cisnął spory kamień w kierunku budy. Kamień uderzył niedaleko okienka i profesor natychmiast odskoczył.

- Fatalnie, oni już tutaj są. To ich macie w ogrodzie, to oni nas atakują!

-Kto, kto profesorku?! – dopytywał się Bartolini

-Liszki i paskudniki. Jest ich wielkie stado – To one niszczą uprawy w Tajemniczym Ogrodzie. Licho musi być gdzieś rzeczywiście blisko, są strasznie bezczelne.

- Howk! Wiedziałem! – rzekł po psiemu Czarny Bolo (co zaraz przetłumaczył na język ludzki Doktor Koyot) – Teraz jestem absolutnie pewien, że nie mogę opuścić mojego pana. On sobie z nimi nie poradzi! Zniszczą tajemniczy ogród w kilka dni!

– Masz rację. Wyżrą tutaj wszystko co jadalne i co trujące. – powiedział książę Krak.

- Więc zostaję z tobą! – zdecydował Samborek.

- Jeżeli myślisz, Czarny Bolciu, że sam sobie z nimi poradzisz – włączył się profesor Gąbka -
To jesteś w grubym błędzie. Oni nie znikną na dobre, dopóki nie pokonamy Licho. To jest jej magiczna armia. Trzeba nie tylko siły, przebiegłości oraz czarów, żeby ich pokonać. Musimy unieszkodliwić ich Panią, Licho. To jedyny sposób, żeby ich na dobre przegnać z Ziemi i z tego ogrodu!

- Możesz to zrobić razem z nami! – powiedział Samborek, który nie chciał się rozstawać z przyjacielem, ale też nie chciał rezygnować z udziału w wyprawie, która uratuje Ziemię od zagłady.

- Do ataku! – krzyknął Bartolini wystawiając przed siebie roznospadę i przymierzając się do otworu wejściowego w pozycji startowej, jak do biegu na trzy kilometry.

W tym momencie grad pacnięć jeszcze bardziej się nasilił, a na wejście spadła olbrzymia gliniana kula. Bartolini ruszył do przodu z impetem, lecz tylko wbił się roznospadą w kupę gliny, która całkowicie odcięła ich od świata. Kucharz zawisnął na szpadzie, jak skoczek na tyczce.

- Rety! Co się dzieje?! – krzyczał fikając nogami w powietrzu.

Smok schował do kieszeni świeżo nabitą tytoniem fajkę i ruszył mu na pomoc. Postawił go szybko na nogi, a także wyrwał roznospadę z glinianej zapory. Otwór wejściowy był zupełnie zawalony.

- I co teraz? – zastanawiał się Samborek – Pogrzebią nas tutaj, jak w egipskiej piramidzie, jeżeli czegoś nie wymyślimy!

Grad kamieni i grud ziemi sypnął się jeszcze gęściej na ich kryjówkę i zapadła całkowita ciemność, gdyż okienko także zostało zasypane. Kamienie grzechotały teraz o sufit.

- Już po nas! – Bartolini popadł w lekką panikę.

- Ponas, ja – ja! – zaskrzeczał Mądrodudek.

Buda zaczęła trzeszczeć w szwach, jakby się miała zaraz zawalić i pogrzebać ich żywcem. Rzeczywiście kilka desek w suficie pękło, a kilka innych wygięło się do wewnątrz.

- Howk, hawk! – Czarny Bolo, niczym rasowy wódz indiański, rzucił swoje bojowe hasło – Hawk! To wcale nie koniec! Każdy dobry dom ma więcej, niż jedno wyjście.

Czarny Bolo ruszył do rogu pomieszczenia, w którym biesiadowali i odsunął klapę w podłodze.

- Mam tu podkop i tunel. On prowadzi prosto na kapuściane grządki. – Hawk! Biegiem!

– Zarządzam natychmiastową ewakuację! – rozkazał książę Krak.

Pierwszy zanurzył się w otworze tunelu Bartolini, za nim Don Pedro, trzeci podążył Doktor Koyot.

- Rety – jęknął Bartolini, posuwając się co sił do przodu na czworakach – Przepadła książęca zastawa śniadaniowa!

- Pędź, pędź nasz dzielny kucharzu – wysapał z tyłu Doktor Koyot – Wyczaruję ci inną, jeszcze piękniejszą, moją czarodziejską różdżką ... Jeśli jej w biegu nie zgubię!

Po krótkim marszu w niewygodnej pozycji zauważyli, że na końcu tunelu zaczęło świtać światło.

- Zbliżamy się do wyjścia – rzucił Don Pedro – Teraz biegiem do latającego talerza. Mądrodudek musi otworzyć klapę i odpiknąć autoalarm. Inaczej silniki nie ruszą. Mądrodudek był na szczęście tuż za nimi.

- Się robi! – rzucił i odpiknął alarm.

Błyskawicznie wydostali się na powierzchnię pomiędzy kapuścianymi głowami i ruszyli pędem do statku. Mądrodudek otworzył przyciskiem pilota wejście, zanim jeszcze zdążyli dobiec.

Tymczasem Siły Ciemności zauważyły ich ucieczkę. Potężny liszek dojrzał wśród kapuścianych głów jedną złotą, koronowaną głowę i zamierzył się na nią wielkim szpiczastym kamieniem. Rzucił, a cela miał tak celnego, że bez dwóch zdań zdmuchnąłby głowę księcia Kraka raz na zawsze, gdyby nie dziwny przypadek. Książę w tej samej chwili potknął się i runął jak długi w bruzdę. Korona spadła mu na ziemię. Pocisk przeleciał koło książęcego ucha i z wizgiem wrył się w grunt, wznosząc gliniastą fontannę. Książę biegł przedostatni, za nim był już tylko pies. Krak porwał koronę z ziemi i rzucił się do wjazdu Latającego Talerza. Wszyscy byli już w środku jedynie Doktor Koyot stał na stopniach nerwowo szukając w połach surduta swojego umklajdera, czyli czarodziejskiej pałeczki.

- Czyżbym go rzeczywiście zgubił w biegu?!... Nie, jest!

Uchwycił pałeczkę prawidłowym końcem i w ostatniej chwili, kiedy Bolo już wykonywał skok uderzył go pałeczką w lewe ucho. Pstryk!

To było prawdziwe szczęście. W przeciwnym razie piesek zderzyłby się w tym skoku z Latającym Talerzem i byłaby z tego prawdziwa katastrofa. Czarny Bolo pomniejszył się jednak w locie jakieś sto razy i wylądował bezpiecznie w otworze wejściowym. Mądrodudek już uruchamiał silniki, podczas gdy grad kamieni bębnił o stalowy korpus statku.

- Gotowi?! – zapytał retorycznie komputer pokładowy i nie czekając na odpowiedź odpalił silniki.

Wystartowali. Na szczęście wszyscy zdążyli zapiąć pasy bezpieczeństwa i nikt nie nabił sobie podczas startu nawet guza.

- Czy nie za dużo mamy tego szczęścia – pomyślał jeszcze profesor Gąbka – Jak na zwyczajne zbiegi okoliczności?

Wiele w życiu widziałem, rzeczy, o których nikomu nawet się nie śni – powiedział do siebie Pan z Głową w Chmurach, patrząc przez okno na swój ogród. Wyjrzał przez nie, bo zbudziły go okrutne hałasy – Ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem! – zdumiał się – Żeby tyczki od fasoli same wystartowały w kosmos?!!!

- To musi mi się śnić – powiedział, poczłapał szybko do łóżka i przewrócił się na drugi bok.

Wtedy deszcz tyczek opadł na ogród, a każda dziwnym trafem przygwoździła do ziemi jakiegoś liszka, albo paskudnika. Jęki i wycia potworków ponownie wyciągnęły z łóżka Pana z Głową w Chmurach. Po krótkiej chwili wijący się i jęczący Słudzy Czarnej Dziury wyparowali, jakby ich nigdy nie było. Pan z Głową w Chmurach znów był w oknie i patrzył na swój Tajemniczy Ogród.

- Co to? Po co ja porozstawiałem tyczki po ogrodzie? Przecież fasolka szparagowa już zebrana, no i rosła tam obok brzozy?! Co to się z człowiekiem na starość wyprawia. – pomyślał i znów wrócił do łóżka. Tym razem na dobre.

Była piąta rano dnia 16 czerwca 2012 roku.



[1] Jan Kaczara – bohater wiersza *Zaczarowany Dorożkarz*, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

[2] LEM – tak nazywano w 1969 roku lądownik księżycowy (Lunar Explorer Module), ale to także nazwisko wielkiego polskiego pisarza. Stanisław Lem (1921-2006), pisał popularne na całym świecie książki fantastyczno-naukowe, a żył i mieszkał w Krakowie.

[3] Ósemka wygląda tak: 8, a matematyczny znak nieskończoności tak: ∞

[4] Ertuditu (R2D2) – mały, kosmiczny, robot naprawczy – jeden z głównych bohaterów *Gwiezdných Wojen*.

[5] Ten przypisek jest od Autora „Tylko dla Dorosłych”: O umklajderach i falenderach oraz o ich czarodziejskich właściwościach można przeczytać dokładniej w książce A. i B. Strugackich *Poniedziałek zaczyna się w sobotę* („Понедельник начинается в субботу”, wyd. Iskry 1970) oraz w książce Harrego Mathewsa *Przemiany* (*The Conversions*, wyd. MAW 1987), a także w powieści Jana San *Moje przygody z psioniką* (wyd. Czytelnik 1990). *Dalekie szlaki* – powieść Siergieja Sniegowa („Люди как богу”, wyd. Iskry 1972). *Gwiezdne wojny* (*Star Wars* 1977-2005) – seria filmów fantastycznych George’a Lucasa.

[6] Bruder – niem. *brat* – toast, który przypieczętowanie przyjaźni i braterstwo.

[7] Han Solo – jeden z głównych bohaterów *Gwiezdných Wojen* George’a Lucasa.

[8] *Powrót do przyszłości* to amerykański film przygodowy i fantastyczno-naukowy (trylogia) z 1985 roku wyreżyserowany przez Roberta Zemeckisa.

[9] Kompromis – to jest porozumienie, które w równym stopniu uwzględnia stanowisko wszystkich zainteresowanych.

[10] Cel Wyższy jest niższy od Celu Najwyższego, a zarazem wyższy od każdego zwykłego celu, ale są tacy ludzie, którzy twierdzą, że dla żadnego celu nie warto naginać albo łamać zasad.

[11] Hogwart to szkoła czarnoksiężników w cyklu powieści Susan Rawlings o Harrym Potterze, a „Błyskawica” – to jeden z modeli miotły do latania, najszybszy jaki istnieje w tym powieściowym cyklu. My znamy szybsze.

[12] W pozaprzestrzeni czyli w eterze Rzeczywistości. Eter – w fizyce ośrodek w którym rozchodzą się fale; w filozofii i magii – subtelna substancja wypełniająca wszechświat; w mitologii – najwyższe rejony niebieskie, w medycynie – środek usypiający.

[13] Ten przypisek od Autora jest znowu „Tylko dla Dorosłych”: Dawniej komórką nazywano składzik na zimowe przetwory w piwnicy, albo składzik na węgiel, którym zimą palono w piecach. Potem komórką nazywano najmniejszą część każdego żywego organizmu. Teraz komórką nazywa się przenośne urządzenie do słuchania i mówienia na bardzo duże odległości. Komórka to przenośny telefon, a mini-komórka to telefon ponadczasowy, czego żadnemu dziecku nie trzeba tłumaczyć.

[14] Naboo i Tatoonie to znaczące planety dla akcji *Gwiezdnych Wojen*, B 612 jest znana z *Małego Księcia* – powieści Antoine’a de Saint-Exupéry’ego wydanej w roku 1943 (fr. *Le Petit Prince*).

[15] Guilty – ang. przymiotnik: *winny, karygodny, nieczysty*. Tutaj skrót od pierwszych liter: Gnomy Utopii i Lobby Technologicznego.

[16] Mistrz Jan Twardowski żył naprawdę w Krakowie, w XVI wieku. Miał tutaj pracownię i był nadwornym czarownikiem (magiem) Króla Zygmunta Augusta. Do naszych czasów przetrwały dwa jego magiczne lustra. Ci którzy twierdzą, że księgi Imć Twardowskiego: *Księga zaklęć i czarów* oraz *Encyklopedia nauki* zaginęły, nie mają do końca racji.



Księżyc & Studio KK

©® Wydawnictwo Kraina